Cena 15 zł. 16 stron

KUŹNICA

Rok III Łódź, 7 stycznia 1947 r. Nr 1 (70)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

11756-A R. 1947: nr 1-51/52
Dział Miejskiej Wypożyczalni Książek dla Dorosłych

Komunista: robotnik, chłop i inteligent — to człowiek, który raz jeden zobaczył świat tak jasno, że nie może o tym zapomnieć, i nic dla niego odtąd nie jest tyle warte co ta jasność: ani jego bezpośrednie interesy, ani nawet jego własne życie. Komunista to ten co stawia sprawę Człowieka przed swoją własną sprawą. Komunista, to ten co nie prosi o nic dla siebie, ale chce wszystkiego dla Człowieka. Tak, pożąda dlań tysiąc rzeczy: szczęścia, zdrowia, zabezpieczenia jego bytu. Czyż nie takim jest komunista?

Aragon

TREŚĆ NUMERU:

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI — CZY POTRZEBNA JEST JESZCZE JEDNA LEKCJA
LEON PASTERNAK — WIERSZ NIENAZWANY
ANDRZEJ STAWAR — TADEUSZ ŻELEŃSKI - BOY (ZMIANA KLIMATU)
RYSZARD MATUSZEWSKI — BEZ ZŁUDZEŃ
PAWEŁ HERTZ — WIERSZE
ROZMOWY „KUŹNICY“
KAZIMIERZ BRANDYS — KOMENDANT ODWETU
KAZIMIERZ BUDZYK — PROGRAMY SZKOLNE
JULIAN GAŁAJ — MYSTKOWICE WIOSKA MAŁA
LEON GOMOLICKI — KWARANTANNA BOŁDINOWSKA
EMIL OGŁOZA — ARYSTOKRACI VOLKSDEUTSCHE
J. Ż. — O POLITYCE TEATRALNEJ
EWA KORZENIEWSKA — NIEDŹWIEDZIA PRZYSŁUGA
EUGENIUSZ CĘKALSKI — HOLLYWOOD I ŁÓDŹ
KRONIKA FRANCUSKA
KANDYD — TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK
PRZEGLĄD PRASY
KORESPONDENCJA
NOTY

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Czy potrzebna jest jeszcze jedna lekcja

I. Łódź i Polska

„WEDŁUG SPISU z 1921 r. Łódź liczyła wówczas 191.656 mieszkańców zawodowo czynnych, a w tej liczbie było 131.762 osób, rekrutujących się z warstw proletariatu. Udział więc proletariatu w ogólnej liczbie czynnych zawodowo mieszkańców Łodzi wyrażał się cyfrą 68,8 proc.“ (Księga pamiątkowa dziesięciolecia samorządu miasta Łodzi. 1929).

A jednocześnie wyniki wyborów do samorządu łódzkiego w latach międzywojennych bynajmniej nie przynoszą zawsze zwycięstwa partiom proletariackim. W 1919 r. większość mają socjaliści, ale już w 1923 endecy, w 1927 skolei znów socjaliści, by w 1934 ustąpić miejsca endekom, dopiero rok 1936 i wyraźne zagrożenie faszyzmu daje jeszcze raz nieznaczną przewagę socjalistom.

Wybory łódzkie zyskały sobie w kraju złą sławę politycznego nierozumu. Ale były też odzwierciadleniem międzywojennej rzeczywistości politycznej w Polsce.

Łódź do roku 1823 była małą, rolniczą mieściną. W ciągu stu lat przeobraziła się w wielki ośrodek przemysłowy, który już przed pierwszą wojną światową liczył pół miliona mieszkańców.

Ludność Łodzi — to była ludność napływowa, oderwana w pierwszym, najwyżej w drugim pokoleniu od wsi. Jeszcze po roku 1933 — 65 proc. ludności miasta nie było zapisanych w księgach ludności stałej miasta.

W latach 1922 — 36 na ostateczną liczbę 657.114 ludności przyrost naturalny wynosił tylko 69.490, natomiast przyrost napływowy aż 132.197.

Wniosek prosty: proletariat łódzki nie miał starych tradycyj klasowych. Żył tradycjami chłopskimi, tradycjami przeżytkowej, klasowo zróżnicowanej, obciążonej feudalnymi reliktami warstwy społecznej, a nie jednolitej klasy. To ważne: I to wiele tłumaczy. Stanowi bowiem zasadniczy czynnik determinujący życie polityczne danego środowiska.

Proletariat łódzki nie umiał prowadzić własnej, cierpliwej, klasowej polityki. W tych ciężkich, rozdartych przez kryzysy latach międzywojennych tym silniej czuł się związany z okoliczną wsią, z której niedawno wyszedł. Gdy przyszło bezrobocie — na tej wsi szukał oparcia, możliwości przeżycia, przetrwania.

A i o partiach proletariackich tego czasu dałoby się wiele powiedzieć. Dramatyczny obraz sporu niemieckich socjal. demokratów i komunistów, rozdzierającego jedność klasy wobec stojącego za progiem hitleryzmu jest symbolem owych czasów oraz pozycji ruchu robotniczego w środkowej Europie. I u nas związek partii z masami, siła robotniczego ruchu, siła klasy była umniejszona przez to polityczne rozbicie, przez brak jedności. Dziś na tę niepowrotnie minioną przeszłość można popatrzeć okiem historyka. Wówczas był to obok młodości łódzkiego proletariatu drugi czynnik uniemożliwiający prowadzenie długofalowej, własnej konsekwentnej polityki [1]).

Nękany biedą, bezrobociem robotnik chwytał się każdej nadziei, brał się na lep każdego frazesu, nie odróżniał swego od wroga. I byliśmy świadkami szczególnej huśtawki — kadencje zarządu miejskiego na zmianę dawały większość to lewicy, to prawicy. Proletariat nie widząc jasno właściwej przyczyny swej niedoli: przemocy reakcji kapitalistycznej w kraju — naiwnie szukał co drugą kadencję opieki w tejże reakcji na terenie samorządu swego miasta.

Zawodził się gorzko za każdym razem, a mimo to znów powtarzał po paru latach upokarzającą lekcję.

[1]) Pomijam tu świadomie szeregi obiektywnych: gospodarczych i ustrojowych przyczyn.

Ta sytuacja i ten zespół przyczyn na terenie Polski nie był czymś wyjątkowym. W całym kraju masy robotnicze i chłopskie nie miały starych tradycyj samodzielnego ruchu politycznego. I jedni i drudzy często dawali się wodzić za nos reakcji. W ruchu chłopskim jeszcze 15 lat temu dominowały wsteczne wpływy „Piasta“, wpływy bogatego, konserwatywnego chłopstwa, zawsze w sojuszach i paktach z prawicą, wpływy tej części zróżnicowanej warstwy chłopskiej, której nie zależało nigdy na reformach społecznych i gospodarczych. Masy ludowe w Polsce popełniały podobne błędy polityczne jak i proletariat łódzki.

Dziś w znacznym stopniu usunięte zostały obiektywne przyczyny mącące świadomość polityczną mas. Usunięta została przewaga ekonomiczna reakcji, która była trwałą podstawą jej siły politycznej. Usamodzielnił się radykalny ruch chłopski, Zjednoczone są i doprawdy wyzbyte przesądów szeregi klasy robotniczej.

A jednak reakcja trzyma się siłą różnych inercyj, przenika zwłaszcza środowisko chłopskie. Reakcyjny PSL znów łudzi demagogicznym frazesem obrońcy ludu. Wyzyskuje w tym celu te same motywy co i reakcja lat międzywojennych. Gdy kryzys kładł swą ciężką łapę na łódzkim proletariacie, łatwo było miejscowym endekom oskarżać socjalistyczny samorząd o niedołęstwo i złą wolę, łatwo było bagatelizować jego istotne zdobycze. Wiemy, że i dziś ciężko jest w Polsce. O rezultatach rozumnej, celowej, leżącej w interesach mas polityki Obozu Demokratycznego mówią statystyki, nie mówi jeszcze lepszy obiad na każdym stole obywatelskim. Na to trzeba dłuższego czasu, konsekwentnej polityki ludowej, kontynuowania planowej pracy. PSL'owska reakcja — może bez żadnego pozytywnego programu — agitować przeciw rządowi, że to on jest winien trudnościom, PSL może podrywać zaufanie do Obozu Demokracji póki kraj nie zdążył odbudować się po katastrofie wojennej, póki wyniki pracy wyrażają się w przyroście podstawowych czynników gospodarczych, jak środki transportu czy surowce energetyczne, póki nie znajdą swego ostatecznego zamierzonego wyrazu w obfitości dóbr konsumpcyjnych. PSL sądzi, że lud polski potrzebuje jeszcze jednej lekcji, że weźmie się na lep demagogii swoich politycznych wrogów, że jest do tyla niewyrobiony społecznie ,iż zarzuci swoją własną demokratyczną politykę na rzecz reakcyjnej, swoją własną drogę przebudowy ustroju w Polsce, na którą wszedł w lipcu 1944, a wróci na stare manowce, do których tęsknią spekulanci z PSL. Myślę, że to jest mylny rachunek.

Polski świat pracy nie potrzebuje jeszcze jednej gorzkiej lekcji. Wystarczy zajrzeć do starych zeszytów, w których jest zanotowana historia poprzednich pomyłek.

Weźmy pierwszy lepszy przykład. Czegóż uczy historia łódzkich wyborów samorządowych?

II. Pierwsze, drugie i trzecie wybory.

Trzy etapy — 1919 — 1923 — 1927, większość socjalistyczna, endecka i znów socjalistyczna.

Pierwsze wybory miały miejsce 21 lutego, a więc zaledwie w niespełna cztery miesiące po ustąpieniu Niemców, jeszcze niemal w toku działań wojennych. Nie potrzeba charakteryzować ówczesnej sytuacji materialnej kraju i Europy. Każdy ją dobrze zna. Była wprawdzie nieco lepsza niż wiosną 1945 roku, ale wszystkie typowe cechy rozstroju gospodarczego spowodowanego wojną, zniszczeniami, wędrówkami ludności, tworzeniem z niczego aparatu administracyjnego, kryzysem pieniądza odpowiadały temu co każdy z nas przed dwoma laty i w ciągu ostatnich dwu lat przeżywał.

Wiemy, iż politycznie masy ludowe przegrały po roku 1918. Władza znalazła się w ręku klas uprzywilejowanych. Miało to swój wyraz w polityce odbudowy gospodarstwa narodowego po wojnie. Charakterystycznym przejawem tej polityki była inflacja. Pozwalała ona przedsiębiorcy znajdować kapitał na odbudowę warsztatu w różnicy kursu pieniądza inwestowanego, czerpanego z funduszów publicznych i tegoż pieniądza zwracanego po jakimś czasie jako wierzytelność. Realne koszty odbudowy spadały w ten sposób wyłącznie na płacącego podatki szarego pracownika.

Ta antyludowa polityka gospodarcza szczególnie dotkliwie wyniszczająca świat pracy — powodowała, że po r. 1918 mimo mniejszych zniszczeń i mniejszych obiektywnych trudności, zarówno tempo odbudowy było wolniejsze aniżeli dzisiaj jak i niedola materialna człowieka pracy była dotkliwsza. Nie poruszam tu oczywiście sprawy całkowitego zaniknięcia dróg awansu społecznego mas, które dziś szeroko stoją otworem, a które wówczas barykadował klasowy egoizm. (Wyrażało się to zarówno w nieupowszechnionej i niejednolitej w swej strukturze szkole, jak i wyraźnie klasowej selekcji przy obsadzaniu stanowisk administracyjnych, oficerskich itp.).

Niedola Łodzi była tylko fragmentem tego ponurego obrazu.Może nieco ciemniejszym. Skupisko proletariackiej nędzy silniej odczuwało ostrość scharakteryzowanych warunków życia, aniżeli wieś. Warunki aprowizacyjne były w miastach szczególnie ciężkie. W ciągu pierwszych dwu lat mamy wyjątkowy okres przymusowej gospodarki aprowizacyjnej. W tym czasie działalność aprowizacyjna samorządów nosi z konieczności charakter raczej doraźny: zaspakajania zapotrzebowania i sprawiedliwego podziału. Dopiero zimą 1921 roku kraj wchodzi w okres wolnej gospodarki aprowizacyjnej. Gminy mogą podjąć normalną działalność w tym zakresie. W pierwszym trzechleciu stan aprowizacyjny Łodzi był szczególnie zły. Wystarczy dla przykładu powiedzieć, że wydzielano tu miesięcznie na osobę 3 — 6 funtów chleba, gdy w stolicy 12 — 15 funtów.

Głodna ludność miasta — nie miała również gdzie się schronić. Mieszkania były w ruinie. M. Helman pisał w „Łódzkim Głosie Obywatelskim“ (1929), że „dokonane przez wojnę zniszczenie w dziedzinie budowlanej było zastraszające. Ludność miasta, widząc ,jak okupanci zabierają jej dobytek, rekwirują wszystko, poczynając od naczyń kuchennych, klamek i innych przedmiotów codziennego użytku, a kończąc na maszynach i innych skomplikowanych urządzeniach i kablach elektrycznych, straciła wiarę w trwałość i wartość rzeczy. Ogarnięta psychozą zniszczenia, a cierpiąc przytem głód i nędzę, rozpoczęła rozbiórkę najpierw płotów, a następnie drewnianych części budynku, jak podłóg i ścianek na strychu, poręczy, drzwi itd., zużytkowując je na opał. Nawet sami właściciele małych, niezamieszkanych wówczas domków drewnianych, w obawie, aby obcy nie rozkradli pojedyńczo desek i belek, przeprowadzili rozbiórkę tych domów, od dachów do fundamentów, sprzedając drzewo na opał... W ten sposób zniszczono w Łodzi setki domów. Doszło do tego, że rozbierano murowane budynki, jak to miało miejsce przy ul. Kilińskiego Nr. 163, gdzie rozebrano fabrykę i sprzedano materiały zdatne na opał“.

Istniejąca w ciągu tych lat koniunktura inflacyjna była niezdrowa i nietrwała. Dawała ona korzyści przedsiębiorcy, który przy niskim poziomie i stałym spadku kursu marki mógł pomyślnie konkurować na rynkach zagranicznych. Ale pod jednym warunkiem, że nie podążał za jego zyskami i powodzeniem wzrost kosztów robocizny. Tak też i było.

W takiej sytuacji władzę w mieście wzięli socjaliści.

Dziś wiemy, że mieli przed sobą zaledwie cztery lata czasu. Potem musieli ustąpić miejsca miejscowemu wstecznictwu.

W ciągu tych krótkich lat proletariat łódzki mógł prowadzić politykę własną. O tyle oczywiście ,o ile to było możliwe w kraju rządzonym przez reakcję. Sprawozdania samorządu łódzkiego mówią o tym wyraźnie. Weźmy dla przykładu szkolnictwo. To socjalistyczny samorząd stworzył rzecz najtrudniejszą w najmniej sprzyjających warunkach: położył trwałe fundamenty pod dalszy rozwój szkolnictwa powszechnego w mieście. W 1913 r. w półmilionowej Łodzi było 101 (!) szkół, z czego polskich było tylko 47 z 6.950 uczniów. W roku 1919 w Łodzi nie chodziło do szkół 45 proc. dzieci w wieku szkolnym. Już w czerwcu 1919 Rada Miejska wprowadza obowiązek szkolny dla niektórych roczników. Wprowadzenie całkowitego przymusu szkolnego rozłożono na cztery lata. Powołano specjalny aparat dla urzeczywistnienia tych postanowień. Do następnych wyborów socjalistycznych samorząd powiększył ilość klas, w których uczyły się dzieci przeszło 30 proc. Natomiast następny zarząd endecki u schyłku swej kadencji zostawił ilość tych oddziałów nawet nieco mniejszą niż ta, którą po socjalistach objmował. A pracował w lepszym okresie!

Spójrzmy teraz dla przykładu na dane dotyczące opieki społecznej. Gdy w okresie rządów socjalistycznych liczba łóżek w szpitalach (odbudowanych z ruiny w 1919 r.!) stale rośnie, to w czasie kadencji endeckiego zarządu stale spada i w 1927 r. ma poziom niższy niż w 1922.

Takich faktów można by cytować dowolnie wiele. Ciekawych i nieufnych odsyłam do cytowanej „Księgi pamiątkowej dziesięciolecia samorządu miasta Łodzi“ z r. 1929.

Samorząd socjalistyczny w bardzo trudnych warunkach prowadził konsekwentną politykę obrony interesów ludzi pracy. Ale nie mógł każdemu z nich zapewnić odrazu dostatniego obiadu i czystego mieszkania. Było dość obiektywnych przyczyn do niezadowolenia. Życie w Łodzi w tych pierwszych latach niepodległości było dla robotnika niezwykle ciężkie. Niestety dawał tylko świadectwo nierozumu ten, który odpowiedzialnością za swój los obciążał łódzkich socjalistów.

Reakcyjny Zarząd Miejski przyszedł w roku 1923. W roku szczególnego nasilenia trudności, brutalnego łamania oporów robotniczych. To okres rozruchów robotniczych, szczególnie silnych w Krakowie. Tłumione było wojskiem przez ówczesnego ministra spraw wewnętrznych — a dzisiejszego wodza PSL — Kiernika, który zy-

skał sobie odtąd przydomek „krwawego". Potężna siła zbliżającego się kryzysu poinflacyjnego w Polsce — złamała siły robotnicze w Polsce. Łódź głosowała na reakcjonistów.

To był błąd. Zjednoczenie się klasy robotniczej, związanie się trwałym sojuszem z radykalnym chłopstwem, otrząśnięcie się tych grup ze społecznych i politycznych wpływów reakcji, konsekwentnie i na długo obliczona walka — to jedno mogło zmienić dolę człowieka pracy w Polsce. To nie socjaliści łódzcy byli winni jego nędzy. Przeciwnie — winien był sprawiedliwie ocenić ich pracę, zrozumieć, że własny samorząd jest jedynym, któremu może ufać, w którego dobrą wolę może wierzyć, i który jednocześnie jest cennym narzędziem walki społecznej z egoizmem uprzywilejowanych w skali krajowej. Tymczasem robotnicy — wyborcy łódzcy z całą naiwnością dali się wziąć na lep reakcyjnego frazesu, który obiektywne trudności chwili historycznej i kraju zwalał na barki socjalistycznego samorządu. Głosowali na rzecz swoich wrogów. Skutki nie dały długo czekać na siebie.

Reakcjoniści obejmowali władzę w lepszej sytuacji. Przejęli dziedzictwo celowej pracy socjalistycznego samorządu. Majątek gminy wzrósł i rósł stale.

A potrzeby proletariatu łódzkiego w ciągu tego czterolecia nie malały. Reforma gospodarcza i stabilizacja waluty przeprowadzona była przez reakcję polską z całą brutalnością. Robotnicy łódzcy poznali się na dobre z bezrobociem.

Ale nowy, reakcyjny samorząd nie o nich myśli. Wydatki na zdrowie publiczne maleją z 26,0 na 21,3 w ciągu endeckiej kadencji, wydatki na opiekę społeczną w tym mieście wyrzuconych na bruk nędzarzy rosną zaledwie z 8,7 w r. 1924 do 11,2 w 1926, gdy tymczasem następny socjalistyczny magistrat podwyższy je do 15 w 1928. A zatem w ciągu tego samego czasu przyrost będzie dwukrotnie wyższy.

W dziedzinie szkolnictwa endecki zarząd miejski przejąwszy cytowany już dorobek socjalistów: 1305 oddziałów szkolnych — spowoduje stały spadek aż do 1243 oddziałów u schyłku kadencji. Dopiero następny socjalistyczny samorząd rozpocznie pracę nad powiększeniem z roku na rok tej liczby. Niepotrzebne były szkoły w mieście, gdzie rządzili reakcjoniści, w których interesie leżało przedwczesne korzystanie z zarobkowej, ciężkiej pracy nieletnich, pracy taniej dla przedsiębiorcy.

Tak samo wygląda opieka społeczna. Pierwszy samorząd zostawia spadek w postaci 1.471 łóżek szpitalnych, reakcjoniści oddają 1.300, i znów nowy zarząd socjalistyczny w 1928 r. przekracza swoje pierwotne osiągnięcia urządzając 1511 łóżek.

Podobnie wygląda liczba dni szpitalnych, z których korzystali chorzy: od 1924 roku mamy stały spadek, nagły skok w górę do poziomu tego roku wyjściowego mamy dopiero w 1928 roku, w toku nowej socjalistycznej kadencji.

Wiemy jak cierpiała Łódź bez kanalizacji. Wydatki reakcjonistów na ten cel nie przekraczają 4 milionów i utrzymują się na tym poziomie w ciągu całej ich kadencji. Dopiero socjaliści przykładają się do tej sprawy. Bo odczuwało się ją na przedmieściach — nie w pałacach z własnymi elektrycznymi studniami. To też w r. 1927 mamy już nakłady w sumie 5 milionów, a w 1928 przekroczono 9 milionów. Socjaliści pracowali intensywnie dla dobra miasta.

Ludność Łodzi mieszkała w walących się norach. Kamienicznik we własnym pałacu ściągał tylko komorne z walącego się domu na przedmieściu, prowadził rabunkową gospodarkę, o ludzkie warunki lokatorów nie dbał. Reakcyjny samorząd to tolerował, chociaż miał prawo interwencji. W związku z naprawą stropów, dachów, podłóg skorzystał ze swego prawa w ciągu kadencji reakcyjnej większości w 1924 — 326 razy, w 1925 — 328 razy, w 1926 — 385 razy, gdy nowy samorząd socjalistyczny w 1927 interweniował już 732 razy, a w 1928 — 1.403 razy. Socjaliści nie pieścili się z egoizmem kamienicznika, gdy człowiekowi pracy należała się opieka nad jego mieszkaniem za ciężkie grosze komornego.

Myślę, że nie warto mnożyć dalej tych przykładów. Jest ich wiele. Ciekawego i nieufnego odsyłam do cytowanej już raz źródłowej księgi sprawozdań.

Reakcyjny samorząd nie dotrzymał żadnej obietnicy. W lepszych warunkach stosunkowo mniej zrobił dla mieszkańców Łodzi, niż borykający się z powojennym zamętem socjaliści. Nic dziwnego — reprezentował obce ludziom pracy interesy klasowe. Bronił kamieniczników i fabrykantów.

Proletariat w 1927 r. zrozumiał tę gorzką lekcję. Większość w nowych wyborach uzyskali znów lewicowcy. Mimo, że działalność ich przypada na ciężki okres kryzysu światowego znów wnieśli dorobek pracy celowej, pomyślanej dla dobra ludzi pracy w Łodzi. Wyżej cytowane zestawienia mówią o tym dowodnie.

III. Czwarte i piąte wybory.

Sanacyjne zamachy na wolność samorządu zakłóciły prawidłowy rytm wyborów. Po roku 1927 — następne odbyły się dopiero w 1934. W wyborach tych na 39 przedstawicieli Obozu Narodowego — lewica miała zaledwie 7 reprezentantów. Proletariat łódzki uznał, że mu pierwsza lekcja nie wystarczy. Zapragnął drugiej. I otrzymał ją.

Lata 1934 r. przynoszą triumfy faszyzmu nie tylko w Łodzi, to złote lata faszyzmu w całej Europie. Triumfy po złamaniu samodzielnego ruchu robotniczego, po zdławieniu związków zawodowych. I w Łodzi lata sanacyjnego pół-faszyzmu osłabiły ruch robotniczy.

I znów rozgoryczenie mas spowodowane trudnościami ciężkich lat kryzysu wyraziło się w nieufności do socjalistów, którzy wówczas kierowali samorządem miejskim. Znów uznano ich pracę nie po wynikach, ale po tym, co dało się zobaczyć i czego brakło na każdym stole robotniczym. Nie socjalistyczny samorząd był winien, że na tym stole nie było dość chleba, ale reakcja rządząca w kraju i Europie. Socjalistyczny samorząd wiele zrobił, celowo i konsekwentnie pracował, by ulżyć doli robotnika. Odsunięcie go od władzy, oddanie jej w ręce klasowych wrogów, przedstawicieli interesów posiadaczy mogło w rezultacie tylko osłabić jeszcze bardziej front robotniczy i zahamować nawet te prace, które w warunkach przemocy reakcji w całym kraju — jeszcze prowadził lewicowy samorząd w samym mieście. Tak się też stało.

Ogólne warunki, w których przyszło rządzić miastem reakcjonistom były znów lepsze. Jak wiemy, z historii rok 1933 był rokiem, gdy kryzys światowy, po osiągnięciu swego dna, zaczął mijać. Faszyzm europejski zwyciężał wymęczony proletariat na fali rosnącej koniunktury gospodarczej [2]).

Tym niemniej w życiu miasta wszystko szło na gorsze pod rządami reakcji w porównaniu do ciężkich lat, w których pracowali socjaliści.

Jak poprzednio zacznijmy przegląd przykładów cyfrowych od szkolnictwa.

Przeciętna liczba dzieci w jednej klasie przy jednym nauczycielu stale rośnie od 50 w 1932-33 do 56 w 1935-36. I znów zmniejszy tę liczbę dopiero następny lewicowy samorząd w 1937. Zatłoczona izba szkolna, przeciążony pracą nauczyciel — to są najbardziej dla laika dostrzegalne symptomy zła w gospodarce oświatowej. Tak ją prowadzili endecy.

Nie inaczej było z opieką społeczną. Gdy w ciągu całej reakcyjnej kadencji liczba zapomóg dla ubogich matek wzrosła o 400, to w toku kadencji następnego lewicowego samorządu w ciągu roku mieliśmy skok o 700.

Charakterystyczna jest również tablica ilustrująca ruch budowlany. W okresie rządów reakcyjnych w mieście maleje znacznie przyrost małych, robotniczych mieszkań, utrzymuje się natomiast na poziomie przyrost lokali 6-cio pokojowych. Z rokiem ponownego objęcia władzy przez socjalistów mamy stosunek odwrotny, znaczny prawie sześciokrotny skok jeśli chodzi o małe mieszkania, spadek przyrostu mieszkań dużych. Ma to jednoznaczną wymowę — o czyje interesy dba endecki, o czyje socjalistyczny samorząd.

Druga ostra lekcja pomogła. W roku 1936 już reakcjonistom — mimo sprzyjających warunków politycznych w kraju — nie udało się chwycić całej władzy w mieście. Przynajmniej nie było objawów zupełnej kapitulacji klasy robotniczej, chociaż na skuteczną obronę pozycyj lewicy było już zapóźno.

IV. Wnioski.

Schemat wyborów łódzkich w przybliżony sposób powtarzał się, w wyborach ogólnokrajowych. I tu człowiek pracy padał ofiarą nierozumu politycznego. Nie mówię świadomie o zasadniczych obiektywnych przyczynach przewagi reakcji. Przykład łódzki jest klasycznym wypadkiem. Pozwala dla celów wykładowych pominąć te istotne przyczyny obiektywne wpływów reakcji. Odsłanią natomiast doskonale w tym wahadłowym przesuwaniu się wpływów rolę czynnika subiektywnego: niewyrobienia politycznego mas. Może żadne inne wybory polskie ani sejmowe, ani samorządowe nie pozwalają na ukazanie roli czynnika subiektywnego z taką ostrością, z prawie karykaturalnym przerysowaniem.

Dziś, jak powiedziałem na wstępie obiektywne przyczyny wpływów reakcji zostały w znacznej mierze usunięte, albo przynajmniej osłabione. Dlatego rola czynników subiektywnych wzrosła. Warto doświadczenia zdobyte przy analizie historii łódzkich wyborów samorządowych wykorzystać przy analizie obecnej sytuacji wyborczej w Polsce.

Czy człowiek pracy u nas potrzebuje jeszcze jednej lekcji, jeszcze jednego rozczarowania?

Sytuacja obecna pod jednym względem przypomina opisane wydarzenia łódzkie. Jest to wzgląd istotny dla kształtowania się subiektywnych nastrojów politycznych. Oto jesteśmy w ciężkim powojennym okresie. Wyszliśmy z tej wojny niesłychanie osłabieni gospodarczo, i biologicznie. Wprawdzie rządowa polityka zagr. i wewnętrzna ,polityka sojuszów z obrońcami pokoju i polityka reform gospodarczych pozwoliła nam tak imponująco zintensyfikować tempo odbudowy kraju i normalizacji życia, że pomyślne rezultaty dostrzegalne są dla każdego. Tym niemniej codzienny stół obiadowy człowieka pracy w Polsce ciągle nie jest dostatecznie zastawiony. Ba, wiele na nim brak.

Planowa gospodarka Obozu Demokracji, plan trzyletni, któremu opozycja nic nie potrafi przeciwstawić, daje uzasadnioną podstawę do rozumnej i bynajmniej nie naiwnej nadziei, że potrafimy osiągnąć dobrobyt i to rychło. Ale praca ta musi trwać. Jej ostateczny wynik, odczuwalny w życiu każdego nie może przyjść odrazu.

Obóz Demokracji trzeba sądzić po imponujących wynikach jego pracy, wynikach, o których mówią dziś statystyki wydobycia węgla, odbudowy transportów i portów, uruchomienia urządzeń kopalnianych i fabrycznych, nie zaś po obfitości masła przy porannym posiłku.

Dopiero pracujemy nad pełną normalizacją życia w kraju. Wiele jest rzeczywistych trudności, niedomagań, niesprawiedliwości i wprost nadużyć. Wiele powodów do usprawiedliwionego niezadowolenia i krytyki.

Wykorzystuje to reakcja. Wmawia w obywatela, że te trudności i nadużycia, samowola, tu i ówdzie, kradzież, czy urzędowa brutalność, fakty niepraworządności czy tylko egoizmu nie są wynikiem nieznormalizowanej sytuacji powojennej. Wmawia reakcja w obywatela, że te braki nie będą usunięte wraz z odbudową techniki, wraz z pełnym przez to usprawnieniem aparatu państwowego, doszkoleniem jego kadr, technicznym udoskonaleniem kontroli, które to elementy muszą źle funkcjonować w kraju bez mostów, z bandami obcych agentów czy wprost awanturników na mało dostępnych terenach, w kraju gdzie kresowe miasta wojewódzkie w ciągu pierwszych lat nie miały bezpośrednich połączeń telefonicznych ze stolicą.

Reakcja wmawia w obywateli, że cytowane wyżej nadużycia to wynik złej woli Obozu Demokracji.

PSL jest zdania, że wyborca winien uwierzyć, iż ludzie tego stronnictwa będąc u władzy zrealizują w pełni słuszny i cenny program gospodarczy, program odbudowy, program polityki zagranicznej Obozu Demokracji, nic więc nie uronią z tego co dziś jest dobre. Usuną natomiast wszystkie wspomniane nadużycia, trudności, powody do niezadowolenia, przejawy niepraworządności — bo mają lepszą niż Obóz Demokracji wolę po temu.

Tak samo wyglądała agitacja łódzkich reakcjonistów, gdy pomawiali samorząd lewicowy o spowodowanie wszystkich klęsk zawinionych przez kryzys, gdy obiecywali kontynuować pracę robotniczego samorządu, a usunąć wszystkie braki, które obywatel miasta odczuwał. Przekonaliśmy się, że kłamali podwójnie. Nietylko nie usunęli trudności spowodowanych przez ogólną sytuację kraju (tego zrobić nie mogli), ale również nie kontynuowali rozumnej, ludowej polityki miejskiej lewicy. W każdym razie nie pracowali w interesie mas, bronili swoich klasowych interesów, bronili łódzkich kamieniczników. I tak być musiało. Reakcja bowiem — bez względu na swoje agitacyjne frazesy nigdy nie reprezentuje interesów mas. Tego uczy historia. I nie tylko naszego kraju i naszych miast. To są tezy historyczno-społeczne dobrze sprawdzone. Od lat!

Jedyne rozumne i przewidujące stanowisko polityczne — to mieć zaufanie do ruchu politycznego reprezentującego masy pracujące. U nas do Obozu Demokracji.

PSL reprezentuje tradycje antyludowej, reakcyjnej polityki w Polsce. Oni są spadkobiercami programów „Piasta", stronnictwa bogatych chłopów i młynarzy, którzy zawsze paktowali z obszarnikami i wraz z nimi pogrzebali reformę rolną w latach międzywojennych, nigdy zaś nie stali na stanowisku jedynie ludowej reformy rolnej bez wykupu. PSL jest współtwórcą w okresie okupacji polityki „londyńskiej" — polityki wyłącznego sojuszu z wrogiem naszych granic zachodnich Anglią, z proniemiecką reakcją angielską, polityki obłędnego szczucia przeciw ZSRR. Polityki odkładania reform do decyzji sejmu, w którym by zasiedli obszarnicy i fabrykanci. Dziś PSL gromadzi w swych szeregach „chłopów z Marszałkowskiej", szermierzy prywatnej inicjatywy walutowej, wszelkiego typu niezadowolonych, rozparcelowanych, byłych ludzi, emigrantów wewnętrznych. PSL — reprezentuje ich interesy. Jest stronnictwem rozbitej, słabej, ale jeszcze żywej, reakcji polskiej. Reakcji dość jeszcze groźnej, bo daje znać o sobie strzałami z lasu i mąci rytm pracy nad odbudową. Bo ma zagranicznych mocnych przyjaciół, którzy opiekują się naszymi bankrutami londyńskimi i przemysłem niemieckim. PSL przy władzy nie tylko nie usunie odrazu trudności wywołanych zniszczeniem wojennym i brakiem pełnej, technicznej normalizacji życia, bo tego zrobić nie może, ale PSL również nie będzie realizowało słusznej ludowej polityki gospodarczej i społecznej Obozu Demokracji. Wbrew temu co dziś obiecuje!

Będzie robić wszystko, by osłabić dokonane reformy. Będzie bronić przeszłości, przeżytych form, interesów niedawno uprzywilejowanych, tak jak broniła ich w czasach „Piasta", tak jak broniła w Londynie, tak jak broni przy każdej sposobności dzisiaj.

Przemyślenie rezultatów naszych rozważań, historii łódzkich wyborów samorządowych jest szczególnie ważne dla inteligencji. Ta grupa społeczna — mimo, że obiektywnie należy do masy pracowników najemnych i ma wspólne z proletariatem interesy — subiektywnie nie zawsze czuje się dość silnie związana ze światem pracy.

Inteligent polski powinien zrozumieć, że jego własne, godne zaufania przedstawicielstwo polityczne — to Obóz Demokracji — to partie reprezentujące ludowe masy, partie robotnicze.

Stefan Żółkiewski

[2]) Por. Świaniewicz: „Gospodarka Trzeciej Rzeszy", W-wa, 1938.

LEON PASTERNAK

Wiersz nienazwany

Obywatele całego świata,
kosmopolici — czemże jesteśmy
bez naszej ziemi z której nas wygnał
głód niespokojny, gest niedorzeczny?

My, kaleczący języki narodów,
my paplający gwarami plemion,
czem byśmy byli —
bez naszej mowy, krwi naszej śpiewnej
— ojczysta ziemio?

Choćbyś doczołgał się nad widnokręgi,
gdzie dłonią chmury przelotnej dotkniesz,
gdzie najszczęśliwiej jest i najpiękniej —
I tam cię dosięgnie.

A niechże sobie gwiżdżą ekspressy,
gdy nami targa tęsknota i trwoga!
Wracamy zewsząd.
Wrócimy zawsze.
Witaj granico — stacjo uboga!

Castagnola — Monte Brè, październik 46.

ANDRZEJ STAWAR

TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

Zmiana klimatu (III)

Podkreślałem już oderwanie się od bieżącej literatury, znamienne dla Boy'a przez okres bardzo długi, co stwarza osobliwy kontrast z ostatnim piętnastoleciem jego działalności. Tego rodzaju zmiany w pozycji pisarza, tłumaczy się pospolicie ewolucją talentu, czynnikami indywidualnymi. W istocie jednak, grają istotną rolę nie tylko dyspozycje indywidualne jednostki, ale i czynniki pozajednostkowe, składające się na całokształt procesu formowania się twórczej jednostki.

Kiedyś Irzykowski bardzo zasadnie krytykował zjawisko zwane przezeń „talentyzm", skłonność do tłumaczenia zjawisk literackich przez talent pisarza, poety. Jak przebieg historii powszechnej tłumaczono przez działania królów i wielkich wodzów, tak dzieje literatury przedstawiano jako dzieje następujących po sobie talentów. Irzykowski wytykał utarte zwroty biografów: „wielki poeta przyszedł na świat w dniu tym w miejscowości takiej a takiej", co zawiera przypuszczenie, że już niemowlę, które w dniu tym przyszło na świat, przyniosło gotową swą wielkość, swój wpływ na współczesnych. W rzeczywistości „talent" nie jest to coś gotowego i tak prostego jak się wydaje. Istota wielu zjawisk, które skłonni jesteśmy przypisać talentowi, tkwi w złożonej tkance stosunków łączących jednostkę utalentowaną ze społeczeństwem.

Tym się tłumaczą nierównomierności w rozwoju pisarzy, okresy milczenia, zmiany form twórczości. Weźmy klasyczny przykład Mickiewicza, który w pełni sił po napisaniu swego największego dzieła, stracił kompletnie wenę poetycką i mimo prób nie potrafił kontynuować utworów, które chciał dokończyć. A nie można tu przecież zastosować przypowieści biblijnej o zakopanym talencie. Mickiewicz przez te dwadzieścia lat poetyckiej bezczynności pozostaje jednostką twórczą, fascynującą współczesnych, działa jako reformator religijny, profesor, polityk, organizator. Podobne zresztą problemy znajdziemy u innych światowej miary poetów jak Dante, Milton, Cervantes, gdzie też mamy okres długoletniego trwania działalności poetyckiej w stanie utajonym i rozmaite formy ujawnienia możliwości twórczych.

Wyjaśnienia tych spraw szukać należy nie tyle w osobliwych właściwościach jednostki, charakterze jej zdolności, ale w społeczeństwie w potrzebach i możliwościach, jakie ono stwarza. Społeczeństwo, siły w danym okresie przeważające wytwarzają coś co można by określić mianem klimatu kulturalnego, stwarzającego bardzo nierówne możliwości dojrzewania i działania dla rozwoju różnych typów zdolności twórczych.

Twórczość Boy'a Żeleńskiego właśnie ze względu na tę charakterystyczną nierównomierność nasilenia w dwóch okresach stanowi zjawisko nader ciekawe. Z pewnością indywidualne możliwości Boy'a w roku 1910 czy 1915 nie były mniejsze niż w piętnaście, dwadzieścia lat później. Ale trudno wyobrazić sobie pisarstwo Boy'a późniejszego okresu w tamtej epoce. Po prostu jej klimat kulturalny faworyzował inny typ umysłowości i artyzmu. Współczesnym mogło wydawać się, że skoro Boy tak zagrzązł w tłumaczeniach i komentarzach, to widocznie to mu odpowiada, a może nie potrafi już robić nic innego. My, znając pisarza w całokształcie jego działalności wiemy, że tak nie było — jeśli autor, który wykazał taki zmysł aktualności, nie zużytkował tego wcześniej to istniały przyczyny bardziej złożone. Zmuszały go one do pewnego wycofania się na dalsze pozycje i szukania dla swoich możliwości ujścia w przekładach i komentarzach.

Wiele pisano o powodach tego zwrotu antyracjonalistycznego w umysłowości europejskiej, który zarysował się w ostatnich dziesięcioleciach ubiegłego wieku i na przełomie stuleci zdawał się zwyciężać przynajmniej w literaturze i sztuce. Warto wspomnieć parę punktów istotnych dla charakterystyki atmosfery, w której dojrzewał przyszły autor „Ludzi żywych".

Niektórzy autorzy katoliccy próbowali wspomniany zwrot w kierunku irracjonaliznu dyskontować na rzecz religii. Ich zdaniem, rozczarowana suchością i jałowością racjonalizmu i jego materialistycznymi konsekwencjami, bankructwem wiedzy, jej nieudolnością do rozwiązywania problemów czasu (o tym „bankructwie" pisali nawet chętnie niektórzy uznani przedstawiciele wiedzy doświadczalnej) — ludzkość zwraca się do wypróbowanego tradycyjnie przewodnictwa kościoła. To nie odpowiadało rzeczywistości. Mimo, iż nie brakło w tym okresie efektownych nawróceń w środowisku uznanych „firm" intelektualnych, to jednak w zwrocie antyracjonalistycznym profitowała nietylko religia, ale i wszelkiego rodzaju kierunki spirytualistyczne, skądinąd kościołowi niezbyt przyjazne. Zrażeni do suchości i jałowości rozumu, intelektualiści kokietowali otoczenie nie tylko uczęszczaniem na msze kościelne, ale — satanizmem i czarnymi mszami, magią oraz innymi elementami średniowiecznej opozycji antykościelnej.

Rozwój więc nie przedstawiał się tak prosto jakby to chcieli widzieć apologeci i nawróceńcy. Późniejsze, czysto polityczne konsekwencje triumfu wrogów materializmu okazały się znowu dla religii mniej przyjemne i korzystne jak tego oczekiwano w początkach. Widzieliśmy w ostatnich dziesięcioleciach, że kościół nie wiele miał pociechy i zbudowania ze swych niektórych pupilów, owszem spotkał się z poważnymi zawodami. Bo też zwrot omawiany mało miał wspólnego z czystym pociągiem do ożywczych krynic religii i wiary.

Kredyt racjonalistycznych prądów u mieszczaństwa europejskiego w wieku XIX opierał się na wierze w prosty, nieprzerwany przebieg ewolucji społecznej — wzrost nauki miał iść na równi z przyrostem dóbr materialnych, zdobyczami konstytucyjnymi, rozwojem interesów. Tę wiarę złamał rozwój klasowego ruchu rewolucyjnego, połączony z postępami socjalizmu naukowego. Okazało się, że wzgardzony motłoch, który dawniej potrafił w momencie podniecenia niszczyć dobra kulturalne i palić księgozbiory teraz wykorzystuje postęp wiedzy we własnym interesie ku szkodzie swoich patronów. Nie ulegało bowiem wątpliwości, iż marksowskiej krytyce kapitalizmu można było przeciwstawić tylko adwokackie wywody urzędowych chwalców, które obalała rzeczywistość, prognozy społeczne twórców marksizmu stwierdzały się w praktyce. Równocześnie okazywało się, iż możliwości postępu gospodarczego w ramach istniejącego ustroju okazują wyczerpanie. — Tym samym otwarta została sprawa kryzysu ustrojowego nie tylko politycznego, jak bywało dotychczas, ze zmianą ministrów czy konstytucji — miał on naruszyć wszystkie elementy życiowe klas panujących i ich satelitów społecznych — majątek, tryb życia, przyzwyczajenia, wyznawane zasady moralności mieszczańskiej.

Nieraz dało się widzieć podczas ubiegłej wojny jak dalece przywiązanie do ustalonego trybu życia, ustalonej sytuacji, przeważało u ludzi nad instynktem samozachowawczym, jak ludzie ginęli, tracili życie często dlatego, że nie potrafili się w porę rozstać z meblami, mieszkaniem, urojeniami dawnej pozycji socjalnej wreszcie. Zrozumiałe są też efekty moralne pierwszego poważniejszego zachwiania wiary w te odwieczne podstawy społeczeństwa w ich trwałość, gdy następowało to przecież nie w jednym kraju ale nosiło charakter powszechny.

Straszne było dla mieszczanina, ujrzeć po wyjściu z domu, iż całe życie zostało wstrzymane przez strajk, ujrzeć demonstrujące tłumy i wstrzymującą je lub szarżującą policję. To nie była tylko sprawa doraźnego niepokoju, całe życie wewnętrzne mieszczanina zostało porażone w sposób trwały, w swej istocie nigdy nie miało wrócić do dawnej równowagi.

Dotychczas społeczeństwo mieszczańskie znało napady paniki wojennej, w obliczu konfliktów zewnętrznych, paniki giełdowej, poprzedzającej tajfunowy przelot kryzysu przez świat interesów, wieszczący ruinę i krach dla wielu. Ale to były przecież niebezpieczeństwa przemijające, dotykające wielu jednostek, przedsięwzięć ale nie zagrażające wszystkim. Teraz społeczeństwo zaznało napadów paniki socjalnej, która wydać się musiała stokroć gorsza niż tamte. Tu już groził jakiś koniec mieszczańskiego świata — kres wszystkich podstaw, norm, przywiązań życiowych, kataklizm ostateczny, którego przewidywanie dla wielu wydawało się gorsze od śmierci. Mieszczaństwo traci dawną wiarę w postęp, odwraca się od jego ideologów, przestaje szukać oparcia w trzeźwym rozumie, w nauce, jak zrezygnowany chory, który wie, że mu medycyna nie pomoże, zwraca się o pomoc do wszelkiego rodzaju znachorów, do cudownych miejsc, zgorzkniały i zrozpaczony szuka ratunku w który w gruncie rzeczy sam mało wierzy. Te nastroje miały oddać mieszczaństwo w ręce wszelkiego rodzaju znachorów i szarlatanów politycznych, którzy w pełni wyeksploatowali w bezwzględny sposób energię i możliwości społeczeństw w najbardziej niszczącym, najbardziej jałowym kierunku, zagrażającym krachem całej cywilizacji europejskiej.

rys. Mieczysław Piotrowski

Te nastroje kataklizmu, rozpaczliwe przewidywania zostały podniesione przez ideologów, — teoretyzujących naukowców, literatów. Rozpraszali oni „złudzenia postępu", urządzali wędrówki i pielgrzymki do wszelkich wiar, prowadzili istną rewję zdawałoby się zamarłych przesądów staroświetczyzny, wysławili na nowo twórczą moc mitu, legendy, ponad prozaiczne niepocieszające prawdy rozumu.

Sposób w jaki zwrot ten uwidocznił się w literaturze pięknej — zwłaszcza w poezji — określiły zresztą pewne tendencje nietyle opozycyjne ile malkontenckie, cechujące zdawna postawę cyganerii artystycznej wobec mieszczaństwa. Tutaj pozytywizm napotykał na zadawnioną niechęć. Postawa irracjonalna wydawała się szczególnie efektywna dla artysty. Nawrót do romantyzmu oznaczał nie tylko obfitujące w odkrycia wędrówki po lamusach dawnej literatury. — Rozstanie się z normami realizmu, — wejście w świat baśni, urojeń, muzyki nastrojów, dawało stylowi ówczesnemu niezaprzeczoną sugestywność. Ma tu miejsce pewnego rodzaju hiperbolizowanie negacji, malkontentyzm wieloznaczny, w istocie mało obowiązujący przeciwko mieszczaństwu, nihilizm ideowy, sowizdrzalska gra ironii — wszystko to pomieszane dawało obraz nader efektowny, pełen swoistej fascynacji, przy poczuciu że to nie będzie długo trwało ,że to przecież „fin de siécle", koniec wieku. Pojęcie moderny, nowości uważano za równoznaczne z dekadencją.

Zwycięstwo prądu antyracjonalistycznego w poezji otwiera drogę dla mistyki wszelkich odmian i nabożeństw — fideiści, diaboliści, dewoci i okultyści, franciszkańscy prostaczkowie i magi, korne dzieci Boże i ziejące pychą plemię Lucyfera. A za nimi całe hordy ubożąt i niebożąt intelektualnych, głoszących z łatwo nabytym przekonaniem upadek rozumu. Brało się do ręki z równym przekonaniem Ewangelię, Kabałę, horoskopy astrologicznego proroka Nostradamusa, jak stare pisma potępionych przez kościół heretyków i magów. Podobne upodobania znajdziemy u wielkich artystów i u wielkich awanturników politycznych tej epoki, ich wielbiciela, poczciwego konsumenta wytworów ich myśli, no i później wyborcy, który otwierał drogę do władzy.

Jeśli chodzi o spirytualistyczny pogląd na świat to w literaturze ówczesnej uderza przede wszystkim maksymalne wykorzystanie wszystkich efektów, wszystkich powabów dualizmu religijnego. W tym samym tomie trudno odróżniłbyś co przeważa — czyste kwilenie chórów anielskich, czy szydersko-sprośny rechot Zwodziciela. W tytanicznych zmaganiach toczonych wedle nieśmiertelnych wzorów romantyzmu w duszach poetów, co znajdowało melodyjny epilog na arkuszach poetyckich, Dobro zwyciężało Zło — mówiąc językiem sportowym niezbyt wysoko, na punkty. Ogólnie biorąc przeważało estetyczne wędrownictwo poetyckie, próbowanie różnych smaczków — przesyceni anielskim chlebem mistyki, artyści chętnie wdychają ostrzejszy zapach smoły diabelskiej. Uniesienia mistyczne spajały się jakoś z bezkontrolnym poddaniem się zewowi chuci, z predylekcją do zboczeń etycznych wszelkiego rodzaju. Prototypem tych miotań, estetyczno-religijnych wędrówek u nas był Przybyszewski, ten „smutny szatan" wedle określenia Boy'a, który dzwonił w końcu ogonem na wszelkie możliwe msze, oddawał się wszelkim kultom, wszelkim magiom, wyczerpał wszystkie formy ekscytacji duchowej. Modlono się, i błogosławiono pięknie, bluźniono i przeklinano jeszcze ładniej. Modlitwy roiły się od paradoksów, bluźnierstwa zaczynały już trącić jakowymś tradycjonalizmem, bodaj urzędowością, bo ostatecznie słyszano podobne już nieraz, i od osób z murowanymi pozycjami w dziejach literatury. Z innej strony biorąc jedno i drugie nie kosztowało wiele. Szczerym uniesieniom religji nie brakło ziemskiej nagrody i poparcia — za chełpienie się praktykami czarnej magii oraz bliskimi stosunkami z Książęciem piekieł — również nikogo nie powleczono na stos.

Te wszystkie różnorodne pierwiastki spajał estetyzm. Ale zarazem trawił on i rozkładał sferę przeżyć emocjonalnych, nadawał wielu sprawom piętno sztuczności, wtórności. Te ulubione dualizmy i kontrasty czasu — spirytualizm, chutliwa metafizyka, poszukiwanie żywiołowości — wszy-

stko to było jakieś wysilone, przy pozornej bujności przejawów zawierało coś spóźnionego, pierwiastek jakiejś bezsilności, jałowości. Przy kulcie wartości irracjonalnych znajdował tu niejednokrotnie przytułek gruby konformizm społeczny. Do wspomnianych dualizmów pasował trochę wierszyk Puszkina o pewnej nabożnej damie*).

II.

Boy pozostał jedynym bodaj w literaturze przedstawicielem prądów racjonalistycznych w szczególnie niekorzystnym dla nich okresie, po zwycięstwie „Młodej Polski". Zresztą pozostał organicznie związany z epoką, pod wielu względami.

Poczucie kataklizmu, katastrofy nadciągającej wytworzyło u ludzi ówczesnych skłonność do historyzmu. Ale ten historyzm nie był jednaki. — Możnaby z grubsza wyróżnić trzy odmiany. A więc spotykało się historyzm konserwatyczny — traktowanie historii jako pewnego bloku spraw przeszłości w fatalny sposób ciążącego nad żywymi, przygniatającego ich. Ten typ historyzmu reprezentował przedewszystkim Wyspiański, skłaniał się do niego mimo wszystko Brzozowski zwłaszcza w okresie końcowym. Bliski popularnego myślenia był historyzm estetyzujący. Zwolennicy jego nizali wydarzenia dziejowe jak paciorki bawiąc się ich barwnością i efektownością, historia stanowiła tu więc przedmiot kontemplacji artystycznej przedewszystkim. Historyzm Boy'a reprezentował odmianę postępową. Rozpatrywanie wydarzeń przeszłości dziejów, prądów umysłowych ewolucji gatunków literackich, skłaniało do umiarkowanych wniosków, że odbywa się przecież progres, że pewne absurdy społeczne i obyczajowe przeszłości zostały usunięte czy złagodzone, że dalszy przebieg rozwoju w tym kierunku sprowadzi nowe ulepszenia. Szczególnie podkreślić należy stałe uwydatnianie u Boya sprawy rozszerzenia się społecznego zasięgu kultury, co go dość radykalnie odróżniało od ówczesnych tendencji arystokratyzmu estetycznego, zwracającego się zarówno przeciwko „mydlarzowi" jak i przeciwnych demokratyzacji kultury.

„Biblioteka Boy'a" uwzględniała przedstawicieli różnych kierunków, różnych typów myślenia. Jednak komentarze wskazują, że nie jest to dobór czysto eklektyczny, bez innych podstaw wartościowania jak pozycja danego autora w literaturze francuskiej. Pion ideowy daje epoka wielkich encyklopedystów — oni są Boy'owi najbliżsi. Zarówno autorzy poprzedzających stuleci — Rabelais, Montaigne, Molier, jak i późniejsi jak Balzac, Stendhal umieszczeni są w takiej perspektywie by uwydatnić bądź historyczne przygotowanie, bądź konsekwencje późniejsze myśli encyklopedystów. Tłumacząc genialne chorobliwości myśli Pascala, później Verlaine'a czy Prousta, wżywając się w epokę, uwydatniając wszelkie odcienie stylu artystycznego Boy nie zatraca ani na chwilę tego stanowiska. W owej konstrukcji wzorcowej, która miała stanowić „Biblioteka" autorzy doby oświecenia zajmują też miejsce centralne. To też określało stanowisko Boy'a wobec fenomenów literackich współczesności.

Do wielkich mistrzów z doby oświecenia — encyklopedystów, propagandystów wolności myśli zbliżało Boy'a przede wszystkim racjonalistyczno - utylitarne pojmowanie literatury. Ten utylitaryzm mógł stanowić na pierwszy rzut oka niespodziankę — Boy obracając się w kołach moderny literackiej zewnętrznie przybierał to i owo z jej postawy — może tu zmylić zwłaszcza szeroko tolerancyjny stosunek do estetyzmu właściwego tej dobie. Boy nie atakował tego estetyzmu wprost, nie ogłaszał programowych krytyk. Nakłuwanie baniek mydlanych jest zajęciem wcale nie mądrzejszym niż ich produkcja. Sceptycyzm Boy'a wobec haseł „sztuki dla sztuki" uwolnił go od wpływu różnych ponętnych haseł epoki, mających na celu pozornie rozwój autonomicznej sfery oddziaływania sztuki, wyzwolenie artysty z pod nacisku ideologicznych społecznych wymagań. W istocie okazywało się to pozorem, przewaga estetyzmu zabójczo oddziałała na literaturę, sztukę, ułatwiała zalew z jednej strony jałowego pięknoduchostwa, z drugiej hermetyzmu artystycznego.

Zresztą przebieg rozwoju w niewielkiej mierze zależał od subiektywnego nastawienia artystów oraz ich estetycznych mentorów w owym czasie. Nastąpiło bowiem bardzo gwałtowne rozszerzenie się sfery oddziaływań literatury związane z przewarstwieniami społecznemi czasu, z rozszerzeniem się sfery odbiorców, którzy w dotychczasowych formach działania nie mogli swych zainteresowań pomieścić.

To że Boy potrafił oprzeć się wymaganiom koniunktury literackiej poprzedniego okresu stanowiło przecież jego siłę w okresie następnym. Pisarz nie tylko bierze udział w wydarzeniach czasu, nie tylko korzysta z korzystnego dlań klimatu kulturalnego, ale go również tworzy. Jak wspomniałem, Boy z racji późnego rozwinięcia swych możliwości pisarskich stanowi ciekawy fenomen dla rozbioru zjawiska, które nazywamy z pewnym uproszczeniem talentem. Ostatecznie obserwacja zjawisk w jakiejkolwiek dziedzinie wskazuje, że ważne są nietyle możliwości indywidualne, ile sposób ich użycia. Doskonale ilustruje to biblij na przypowieść o talentach — ale równie często jak zakopanie talentu spotyka się jego rozdrobnienie, rozproszenie z braku głębszej zdolności konstrukcyjnej. Między wielu określeniami talentu można tu wspomnieć jedno — talent to charakter. Przeciwnicy Boy'a przyczepili mu łatkę „życia ułatwionego", wygodnictwa czy oportunizmu życiowego. W istocie to są pozory. Choćby w sposobie uformowania „Biblioteki", gromadzenia owej masy przekładów widać nie tylko upór, cyklopi rozmach i niezmierną wydajność pracy, ale i przede wszystkim zdolność do zakładania sobie dalekich celów. Można sobie wyobrazić, że po świetnych początkach Boy mógł kontynuować działalność satyryczno - feljetonową i zyskać błyszczące sukcesy na krótszą metę. Wielu utalentowanych pisarzy i artystów ekscytowanych zachętami krytyki i publiczności eksploatuje wszystkie możliwości początkowego sukcesu kosztem utraty poważniejszych perspektyw rozwoju. To zagraża przecież i wybitnym zdolnościom.

Weźmy Stanisława Brzozowskiego. Pisarz wielkiego talentu reaguje na zjawiska potokami fascynującej współczesnych wymowy, dziesiątkami, setkami sugestywnie, z temperamentem napisanych stronic. Nieznacznie przecież daje się znosić zmiennym prądom czasu. Element konstrukcji w obfitej twórczości pisarza zatraca się, daje on w pismach swych kolejny przytułek wszystkim panującym kierunkom, ba modom czasu, ponosi go potok zjawisk miast kształtować innych sam nieznacznie kształtuje swe wypowiedzi po linii panujących nastrojów. Nasuwa się tu porównanie. Płynie sobie potok górski, raz rozlewający się obfitością wód, kiedyindziej prawie że zanikający. I oto ludzie budują zaporę, spiętrzają wodę, tworzą z niej potężną, trwale działającą siłę. Tak bywa z talentami. Przez powstrzymanie, przez narzucenie pewnych zacieśnień, ograniczeń konstrukcyjnych żywiołowi talentu pisarz uzyskuje znamienne spiętrzenie własnych możliwości. Ta właściwość spowodowała, iż Boy należy do pisarzy, których działalność pozostawia trwalsze ślady w kulturze kraju.

Gdyby rozwój literatury, jej ostateczny wyraz w danej epoce określały czynniki przede wszystkim literackie (co jeszcze wielu uważa) możnaby rozwój ten określać na zasadzie danych takich jak ciągłość tradycyj literackich, charakter spadku formalnego epoki itp. elementów. Ale ten wyraz, najistotniejsze elementy rozwoju określają czynniki poza literackie, leżące w układzie sił społecznych, decydujących w ostatecznym wyniku o eliminacji kierunków i ludzi, odrzuceniu i upadku jednych, wzroście i wyniesieniu innych. Nie jest to bynajmniej tylko cechą naszych czasów — każda epoka literatury ma to do siebie, że jej ostateczny bilans wygląda inaczej niż zapowiedzi programowe kierunków, które uważają się za twórców czy inspiratorów przemian. Ale w okresach przełomowych rozbieżność i przeskoki między ideologiami, korektury ich przez rzeczywistość społeczną przedstawiają się szczególnie jaskrawo. Sprawy należy uwzględnić gdy chcemy wyjaśnić uderzającą zmianę pozycji Boy'a Żeleńskiego w literaturze dwudziestolecia i czynniki, które na to wpłynęły. Wówczas okaże się, że ta zmiana nie była bynajmniej tak niespodzianą jak to na pierwszy rzut oka mogło się wydać.

(c. d. nastąpi) **Andrzej Stawar**

---

*) Zdaje się nie był tłumaczony. W oryginale brzmi tak:

Błagoczestliwaja żena,
Duszoju Bogu otdana,
A griesznoju plot'ju
Mitropolitu Fot'ju.

RYSZARD MATUSZEWSKI

BEZ ZŁUDZEŃ

Podczas konferencji prasowej, urządzonej dla wycieczki dziennikarzy polskich w Londynie przez brytyjski Board of Trada (odpowiada w przybliżeniu naszemu Ministerstwu Handlu i Żeglugi oraz Ministerstwu Przemysłu), sekretarz stanu dla spraw handlu morskiego, min. H. A. Marquand, na zapytanie jednego z naszych kolegów, czym różni się polityka handlowa obecnego, labourzystowskiego rządu Wielkiej Brytanii od polityki, którą by ewentualnie na jego miejscu prowadził rząd konserwatywny, odpowiedział szczerze, iż jego zdaniem konserwatyści staraliby się na miejscu labourzystów robić dokładnie to samo, co obecnie robią labourzyści, to znaczy regulować i wzmagać eksport, dając „poszczególnym eksporterom brytyjskim maksimum wolności dla umożliwienia im pozyskania swoich rynków zgodnie z ich osobistymi możliwościami", (cytuję wg. art. E. Bory Sprawy eksportu brytyjskiego, Rzeczpospolita, 1.XI. 1946).

„Chciałbym zwrócić uwagę Panów na fakt, — powiedział min. Marquand — że, podczas gdy rząd sam jest w chwili obecnej importerem żywności i znacznej ilości surowców, to nasz handel eksportowy jest prowadzony przez firmy prywatne. Żeby zachęcić naszych eksporterów do wypełnienia postawionego im zadania i dla ułatwienia swobody ruchu towarów do rynków zamorskich rząd ma zamiar znieść, gdy tylko na to pozwoli sytuacja zaopatrzenia, wszelkie restrykcje i kontrole z czasów wojny... W wielu wypadkach znieśliśmy obowiązek licencji eksportowych, w konsekwencji czego prywatni eksporterzy zjednoczonego królestwa, przez których ręce przechodził faktycznie cały nasz handel eksportowy, mogą sprzedawać swe towary na dowolnie przez siebie wybranym rynku zagranicznym." Na pytanie, jaki jest udział wielkokapitalistycznych towarzystw inwestycyjnych w ogólnym dochodzie narodowym Wielkiej Brytanii, minister nie udzielił wyraźnej odpowiedzi. Zestawiając politykę obecnego rządu z ewentualną polityką konserwatystów, wyraził jedynie wątpliwość ,czy rządowi konserwatywnemu udałoby się osiągnąć podobne wyniki, co rządowi Labour Party, wobec roli, jaką w ich uzyskaniu odgrywa zastosowany przez labourzystów system racjonowania artykułów pierwszej potrzeby.

Podczas tejże konferencji, na zapytanie, jak sobie brytyjski podsekretarz stanu wyobraża z punktu widzenia brytyjskich interesów eksportowych rolę gospodarczą przyszłych Niemiec, min. Marquand oświadczył, że: ...**teoretycznie** można sobie oczywiście wyobrazić taką politykę gospodarczą, która by się zgodziła z pozostawieniem Niemiec w roli kraju cierpiącego na chroniczne zbrodnie i niedożywianie i jedyną swoją uwagę skierowała na odbudowę krajów sąsiadujących z Niemcami", że jednak ma on „poważne wątpliwości czy **praktycznie** da się taka polityka zrealizować, biorąc pod uwagę ciężar gatunkowy gospodarki niemieckiej w ogólnym układzie gospodarki światowej".

Brytyjski podsekretarz stanu w wypowiedziach swoich nie pozostawił przedstawicielom prasy polskiej, pragnącym ze słów jego odczytać istotny sens brytyjskiej polityki gospodarczej, **żadnych złudzeń.** Dalsze postawione mu przez polskiego dziennikarza pytanie brzmiało, czy nie byłoby jego zdaniem słuszne z punktu widzenia interesów pokoju i odbudowy gospodarczej Europy, aby przy odbudowie przemysłu na ziemiach przed wojną należących do Niemiec wzięto pod uwagę w pierwszym rzędzie przemysł naszych ziem odzyskanych. Minister dał na to odpowiedź nie tłumaczącą się zbyt konkretnie i zbyt jasno w języku ekonomicznych faktów, choć odpowiedź nader uprzejmą. Powiedział: „It is very interesting". To bardzo zajmujące.

Jaki istnieje związek pomiędzy eksportowymi interesami Wielkiej Brytanii, a odbudową gospodarczą Niemiec? Oczywiście, o ile chodzi o interes brytyjskich mas konsumentów, — związek bardzo pośredni. Natomiast, jeśli chodzi o interes brytyjskich eksporterów, związek bardzo bezpośredni i ścisły. Jeśli chodzi o brytyjskiego konsumenta, to pragnie on tak jak konsument każdego innego kraju utrzymać jak najwyższą stopę życiową, ewentualnie podnieść ją, wychodząc z właściwego każdej jednostce egoizmu gospodarczego. W interesie przeciętnego obywatela brytyjskiego wzmożenie eksportu, to w dalszej konsekwencji zwiększony import i — dobrobyt. Interesy każdego obywatela w każdym kraju nie są inne, i gdyby zaspokojenie tego rodzaju ludzkich dążeń i interesów było właściwą funkcją rządu socjalistycznego — nie byłoby na świecie innych rządów, niż socjalistyczne.

Istotną funkcją rządu mieniącego się socjalistycznym jest jednak zapewnienie rozwijającemu się dobrobytowi ludzkości takich warunków, przy których miałby on cechy trwałości. Nie może być trwałym dobrobyt oparty o zwycięstwo interesów grupy jednostek, która w swoim ręku skupiła atuty ekonomicznej przewagi w stosunkach międzynarodowych kosztem interesów i dobrobytu ludności krajów, stojących na niższym etapie gospodarczego rozwoju i gospodarczo uzależnionych. Interesy tej grupy jednostek, pozornie wspólne z interesami mas konsumentów w danym kraju, którego ludność z rozwijającej się aparatury kapitalistycznego systemu korzysta, już dziś stoją niejednokrotnie w wyraźnej sprzeczności z interesami konsumentów innych krajów. Interesy te, polegające na dążności do zapewnienia sobie większych zysków, co w przedstawionym przez min. Marquanda systemie zależności od krajów bloku szterlingowego jest koniecznością, wychodzą daleko poza zdolność produkcyjną wysp brytyjskich, ich wysoko rozwinięty przemysł, potrzeby ich 46-milionowej ludności. Interesy te — to nie tylko zdobycie rynków, ale także zdobycie odbiorców dla surowców, dostarczanych przez kraje imperium. Takim odbiorcą jest niemiecki przemysł. Interesy te — to także kumulacja kapitału, na który mogą przecież pracować nie tylko brytyjskie fabryki, ale i niemieckie. To jednym słowem rozrost i zwycięstwo brytyjskiego kapitału a wraz z nim ekonomiczno - politycznego znaczenia Wielkiej Brytanii. Do tego celu — w orbitę zainteresowań brytyjskiego przemysłu i brytyjskich eksporterów musi być wprzęgnięty przemysł niemiecki, i dlatego brytyjski podsekretarz stanu nie może być innego zdania, niż to, że nieuprzemysłowienie Niemiec jest możliwe tylko **teoretycznie**, praktycznie zaś jest ono ze względu na „ciężar gatunkowy gospodarki niemieckiej w ogólnym układzie gospodarki światowej" (czytaj: gospodarki kapitalistycznej) — niemożliwe...

Jak wiadomo, w systemie, gdzie pozostawia się „poszczególnym eksporterom maksimum wolności dla umożliwienia im pozyskania swoich rynków zgodnie z ich osobistymi możliwościami" — nie odbudowuje się również przemysłu tam, gdzie nie liczy się na zyski. Operowanie, jeśli chodzi o Niemcy argumentem „kraju cierpiącego na chroniczne bezrobocie i niedożywienie" nie ma innego znaczenia niż to, jakie nadawał mu swego czasu, ogłoszony przez komitet budżetowy Izby Gmin, raport w sprawie kosztów, ponoszonych przez W. Brytanię na okupację w Niemczech, omawiany przez jedno z pism brytyjskich [1]). Raport ów stwierdzał: „Jest rzeczą bez precedensu w dziejach, by w dwanaście miesięcy po zakończeniu wojny Wielka Brytania musiała płacić 80 milj. funtów rocznie na podtrzymanie swego głównego przeciwnika". Raport celowo i tendencyjnie podkreślał wspólność obciążeń ponoszonych przez Anglię jako okupanta, podając tylko mimochodem i na innym miejscu cyfrę dochodów ze strefy, wynoszącą 50 milj. funtów (według expose budżetowego kanclerza skarbu Daltona 50 — 70 milj. funtów), którą należy odjąć od cyfry wydatków. Raport jako konieczność podkreślał scalenie niemieckiej gospodarki i odbudowę niemieckiego przemysłu, nie bez ukłonów zmierzających do pozyskania sobie sympatii Herrenvolku. Mówił on o perspektywach życia w Niemczech niewiele ponad poziomem głodu, o brakach dóbr użytkowych „przekraczających zrozumienie brytyjskie" i o polityce denazifikacji, jako o przyczynach „stale obniżającego się stanu psychicznego niemieckiej ludności. Celem raportu było to, co jest stałym i zasadniczym celem polityki brytyjskiej w Niemczech: 1) powiększenie produkcji przemysłowej, 2) pozyskanie przychylności Niemców dla tego typu polityki, jaką Wielka Brytania w oparciu o przemysł niemiecki prowadzi i nadal zamierza prowadzić.

Polacy popełniają, jak podkreślano już niejednokrotnie ,duży błąd, tłumacząc Anglikom przy każdej okazji jak wiele win ciąży na Niemcach i jak nieusprawiedliwiony jest angielski humanitaryzm w stosunku do nich. Anglicy nie dlatego wysuwają momenty humanitarne i publikują głosy dobrych ladies, rozczulających się nad niedożywieniem niemieckiej ludności, że są nieświadomi, naiwni i mają czułe serca, lecz dlatego, że jest to całkowicie zgodne z ich polityką. W ich interesie leży dobrobyt i dobre samopoczucie tych, którzy na nich pracują. Oczywiście, czym in-

---

[1]) „Manchester Guardian" z dn. 26.VII. 46 pt. „80 milj. funtów na pokrycie głównego wroga".

nym będzie tu dobrobyt i dobre samopoczucie ludności wysp brytyjskich, które osiągnąć można w stanie obecnym jedynie prowadząc politykę sprawiedliwego rozdziału dóbr i eliminacji tych społecznych nierówności, jakie rozwój kapitalizmu wywołał, a stuletnia walka mas robotniczych tylko w części zdołała usunąć, czym innym „stan psychiczny" ludności Niemiec, wymagający popierania tych czynników, które brytyjskiemu pracodawcy i dysponentowi środków produkcji idą najbardziej na rękę, a jeszcze czymś innym odpowiednio przychylny stosunek odpowiednich grup ludności w innych krajach, w których w ten czy w inny sposób zaangażowane są interesy brytyjskie.

Jest faktem, że polityka równoważenia brytyjskiego bilansu prowadzona jest nie pod kątem widzenia potrzeby dopasowania go, i podporządkowania jakimś ogólniejszym planom wymiany międzynarodowej, co byłoby możliwe jedynie przy pełnej gospodarce socjalistycznej i przy odpowiedniej, zgodnej z zasadami tej gospodarki, — polityce zagranicznej. Jest ona prowadzona zgodnie z zasadami obecnej polityki zagranicznej, polityki wytyczonej przez interesy tych, których swobodnej inicjatywy rząd Labour Party nie zamierza w niczym krępować, jeśli chodzi o forsowanie dróg brytyjskiego eksportu. ,

A przy tego rodzaju polityce, polityce nawskroś tradycyjnej, przy której reformy społeczne wewnątrz kraju nie są niczym innym, jak najracjonalniejszymi, koniecznością podyktowanymi zarządzeniami, mającymi podtrzymać jaknajdłużej i w sposób najdoskonalej kwitnący — istniejący system społeczny, gospodarczy i polityczny — nie może być mowy o jakiejkolwiek zmianie kursu jej w stosunku do kraju takiego jak Polska, kraju, którego żywotne sprawy mogą co najwyżej spotkać się z grzecznym określeniem — very interesting. W istocie nie są to sprawy interesujące dla czynników decydujących o polityce gospodarczej W. Brytanii, ponieważ słabo można na nich zarobić i ponieważ nie łączą się one w żaden sposób z układem tradycyjnej polityki brytyjskiej.

„Polska interesuje nas — oświadczył brytyjski podsekretarz stanu — jako ewentualny dostawca drzewa i jaj... które są dla W. Brytanii artykułami pierwszej potrzeby. Poza tym dostarczać możemy nasze artykuły eksportowe Polsce tylko za gotówkę. W. Brytania będąc krajem, który w czasie wojny z rzędu krajów wierzycieli przeszedł do kategorii krajów - dłużników nie może być brana w rachubę jako państwo mogące udzielać długoterminowych kredytów".

W stwierdzeniach przedstawiciela brytyjskiej gospodarki nie ma dla Polski niespodzianki, wynikają z nich natomiast niezbite konsekwencje. Polska jest krajem niewątpliwie o wiele bardziej przez wojnę poszkodowanym niż W. Brytania, i krajem dla którego problem odbudowy i przebudowy przemysłu jest w niemniejszym stopniu zagadnieniem życiowym, niż dla Wielkiej Brytanii problem eksportu. Polityka angielskiego kapitału, a taką jest bez żadnej wątpliwości obecna polityka W. Brytanii, nie ma w tej chwili nie tylko żadnych możliwości, ale i żadnego interesu w dopomaganiu Polsce do gospodarczego wydźwignięcia się tą drogą, bo:

1) w zyskach z przemysłu polskiego nie jest zainteresowany kapitał brytyjski, a w zyskach przemysłu niemieckiego jest on zainteresowany, 2) inwestowanie w jakiejkolwiek postaci przemysłu polskiego kapitałowi brytyjskiemu się nie opłaca, a rozwój gospodarczy Polski, jeśli nawet nie stanowi na żadnym polu groźby poważniejszej konkurencji dla interesów Wielkiej Brytanii, to w każdym razie jest dla tych interesów najzupełniej obojętny.

Polska interesuje Anglię co najwyżej jako trzeciorzędny i mało istotny dostawca surowca, i to tylko wtedy, o ile wzamian za ten surowiec przyjmie wytwory brytyjskiego przemysłu. Natomiast Niemcy interesują W. Brytanię bardzo jako teren penetracji brytyjskiego kapitału i odbiorca brytyjskich surowców z krajów Imperium.

Tylko istotna przebudowa czynników dysponujących systemem gospodarczym W. Brytanii, w konsekwencji której mieszkaniec wysp brytyjskich przestałby być jednostką całkowicie uzależnioną od aparatu produkcyjnego, eksploatującego kraje stojące na niższym szczeblu gospodarczego rozwoju, w którym interes brytyjskiego robotnika przestałby być zarazem interesem brytyjskiego kapitalisty, jednym słowem — tylko taka przebudowa funkcyj brytyjskiego przemysłu, aby z jego kalkulacji gospodarczej usunięty został kapitalistyczny zysk, a przemysł ten był jedynie odpowiednikiem realnych potrzeb brytyjskiego konsumenta, — może rzeczywistości tej nadać inne oblicze. W naszych wysiłkach odbudowy i przebudowy zniszczonego wojną organizmu gospodarczego musimy szukać oparcia w krajach, których sytuacja, jeśli chodzi o stadium rozwoju gospodarczego jest analogiczna do naszej. W wysiłkach tych trudno liczyć na przychylność kierowników polityki państwa, którego interesy biegną po całkowicie innej linii. Nasza struktura społeczna i gospodarcza czyni z nas dziś organizm ekonomiczny mało nadający się do eksploatacji w duchu kapitalistycznym. Natomiast struktura Niemiec — kraju wielkiego i zniszczonego, a społecznie biernego nadaje się do tego doskonale. Tendencje popierania Niemiec, jako gospodarczego wasala brytyjskiego kapitału są na tym tle aż nadto zrozumiałe. Zrozumiałe są też tendencje zwiększenia potencjału niemieckiej bazy brytyjskich interesów przez sugestie rewizjonistyczne w stosunku do postanowień jałtańskich. Zrozumiałe jest, że wówczas, kiedy by polskie ziemie zachodnie zwiększyły siłę chłonną uzależnionego od Anglii obszaru Niemiec, pomoc gospodarcza dla ich przemysłu byłaby sprawą o wiele bardziej interesującą dla polityki Wielkiej Brytanii.

Ryszard Matuszewski

PAWEŁ HERTZ

W I E R S Z E

Lament podróżnego

Ulico Germain Pilon! Kochałem ten pokój tani
i jeszcze tańszy cydr. Nie byłem nigdy w Bretanii.
Stoję tu pod oknami. To profil mój, sobowtórze,
przedrzeźniasz z lat przedwojennych na przeciwległym murze.
Chłopcze ufryzowany jak posąg obcego bóstwa,
mam tylko dużo pieniędzy. Wstydzę się mego ubóstwa.
Orzeł o czterech łapach i głowach dwuch z wizerunku
dobrze znanego przed laty, zażąda rano rachunku.
Nie wierzę temu stuleciu bez rąk, jak Wenus z Milo,
rozmieniam wiedzę na żądze, jak bankier banknot na bilon.

W neseserze wiozę ze sobą,
mimo granic, taryf i cła,
kontrabandę: młodość z żałobą,
obce twarze z portretów bez tła,
mandolinę z podmiejskiej wycieczki
w okolice Fontainebleau:
nie podróży chcę, lecz ucieczki
tam, gdzie czas nie zamienia się w szkło.

Ulico Ravignan! Jedyna tych wierszy ozdoba,
to podobieństwo żałosne do wierszy Maxa Jacoba.
Schodzę powoli ze wzgórza, skandując dawne prawidła,
uczeń nazbyt pojętny, złamałem muzie mej skrzydła.
Wlokę je teraz za sobą, jak owa bogini zwycięstwa,
przesiąkły ziemią i potem sandały mego męstwa.
W nierównych walkach traci moja Nike głowę,
a ja sprzedaję wiersze jak togi gotowe.
Gorzko nam, moja ulico, do takiej prawdy się przyznać,
ale Cytera i wzgórze, to nie jest nasza ojczyzna.
Jestem jak stary Baedecker. W pośpiechu i bez miłości
wyrzucam miasta i lata, jak gracz wyrzuca kości.

W neseserze wiozę ze sobą,
mimo granic, taryf i cła,
kontrabandę: młodość z żałobą,
obce twarze z portretu bez tła.
Lecz naprawdę nie chcę podróży,
kontrabandy cezur i miar,
niech mój wiersz lepszym światom służy,
niech zna winy. Niech uczy kar.

Ulico Monsieur le Prince! Noc idzie, noc głęboka,
do rana będę pamiętał, do rana nie zmrużę oka.
Dzień, który się dla innych otwiera jak piękna scena,
zasnuwa mi, jak mgła, weronal i migrena.
Używam tych słów banalnych, jak w modnej powieści z przed laty,
gdzie cierpi panna służąca, gdzie młody pan jest bogaty.
Była w tym jakaś prawda. Zgubiłem ją, Nie pamiętam.
Jestem jak dom zrujnowany, lecz trwam na mych fundamentach.

W neseserze wiozę ze sobą,
mimo granic taryf i cła
kontrabandę: młodość z żałobą,
obce twarze z portretu bez tła.
Celniku! Odbierz mi przemyt,
oceń towar mój według taryf,
abym wreszcie zapłacił, niemy,
od lat należne kary.

Małe ody

Tu ciężka mgła i lazur — to Tauryda.
Motor nad morzem słyszę spoza krat.
To nic — ten czas więzienia też się przyda,
jeśli o naukę spyta młodszy brat.

Tu pusta noc. Tu — nie pamiętam imion,
a chociaż był tu niegdyś grecki brzeg,
milczy Chersones. Strażnik jak Endymion
śpi na wieżyczce. Jak szkło dzwoni śnieg.

Cóż powiem ci, gdy spytasz mnie o Cherson?
Znałem więzienie i lazur zza krat.
Śniegu już niema. Dzieci grają w serso.
I pewnie uczy się czyjś młodszy brat.

Bywa praca bez sławy: ta nad szklany dach
wschodzi światłem wysokim,
topiąc pogardę, nienawiść i strach,
jak wiatr zimowe obłoki.

Dzieciństwo ludów zna ją zapewne. Lecz mnie
co czynić, kiedy śledzę
puste źrenice nieba w górnym szkle
i w nich znajduję wiedzę?

Nocami Kassiopea pośród dymów drży,
szklanego dachu bliska
i ginie, kiedy rude świt rozwija mgły
dla pracy bez nazwiska.

Lecz praca trwa: tak stoi bez cesarstwa Rzym,
rękę podając bratu,
barbarzyńcy, gdy składa swój chropawy rym,
prawdę przynosząc światu.

Pokłócony ze światem, siostro moja, ziemio,
nie chcę twoich uroków. Są jak dary greckie.
Timeo Danaos... Kiedy byłem dzieckiem
moją łagodną mowę zepsuł gwar twych plemion.

Podbito moje kraje. Podpalono domy.
Pomieszano języki. Nie znam mojej mowy.
Każdy dzień już od świtu jest mi nieznajomy,
każda noc kładzie kamień dla znużonej głowy.

Nie z mego obyczaju i nie mojej wiary
będzie, niewielka ziemio, czas wojen, czas zgody.
Pokłócony ze światem, nie chcę twej urody.
Jestem winien. Wiem o tym. Czekam słusznej kary.

Gdybym zapomniał, podpowie mi pycha
surowy sąd dla przemian.
Mój świat jest pusty. Nikt nie oddycha,
umarła krąży ziemia.

Gdybym pamiętał, że są inne słowa
i inne niż pychy usta,
to cóż? Ta, która minęła połowa
naszego życia, jest pusta,

Pióro! Na nowo kreślić nam wypada
słowa dla końców wierszy:
ostatnim rymem niech będzie zdrada,
a wierność — pierwszym.

Jeśli mi, świecie, pozwolisz na próby,
może zaponunę o pysze
i wypełniając twe mądre rachuby,
dzieło dla ludzi napiszę.

Innego życia nie będzie. Tylko inny dzień
po nocy, gdy się nie zbudzę.
Dla ciebie tylko. Dla mnie niech trwa cień.
Najpiękniejsze jest życie cudze.

Tyle wiem, że w dłoni ludzkiej świat,
już nie mój, ale twój się zmieni.
Zginie nieład planety, umrze drzewo i kwiat.
dla aluminium, stali i kamieni.

W tych krajobrazach nie umiałbym żyć,
bez ruin, w tak wielkim porządku,
że już nie trzeba końca świata śnić,
że wraca się do początku.

W Paryżu głucho i okrutnie
toczą się lata, jak rząd karoc.
Nim Parka mi tę podróż utnie,
wolno mi wzdychać tu raz na rok.

Nie wiosną. Wiosną tu, jak wszędzie,
po parkach płacze bez i słowik,
rentier, co zimą zaoszczędził,
to zaokrągla jak grosz wdowi.

Jesienią pozwól być tu, Parko,
kosztować słodki chleb wygnania.
Wiesz dobrze, siostro i lekarko,
że mnie z ojczyzny czas wygania.

Patrząc na własną fotografię
z przed czterech lat, z przed lat dwunastu,
sobie być wiernym nie potrafię
i jestem tylko wierny miastu.

Pamiętam z książki: settembrini,
to ten, co późno gdzieś przebywa.
Nikt ciebie, Parko już nie wini,
nie umiesz przecież być szczęśliwa.

Przybywam późno. Wiek przez szpary
drzwi niedomkniętych groźnie błyszczy.
Pozwól mi jeszcze przejść przez Paryż,
ja zaraz wrócę znów do zgliszczy.

ROZMOWY „KUŹNICY"

Podajemy przebieg rozmowy, która odbyła się w gronie „Kuźnicy" na temat prozy powieściowej. Obok członków redakcji w rozmowie brali udział zaproszeni goście.

Adam Ważyk: Produkcja literacka nagromadzona w czasie okupacji została już ujawniona, wszystkie prawie utwory ukazały się w druku. Teraz mamy pewien punkt zwrotny. Powstają nowe utwory literackie. Chwila obecna wymaga uściślenia kryteriów literackich, oczywiście nie w imię jakichś przejściowych haseł, ale w imię trwalszych zasad opartych doświadczeniem historycznym. Swo jego czasu dyskusja o realiźmie dała jedną dużą korzyść, postawiła kwestię wyjścia pisarza z kręgu niesprawdzalnych doznań wewnętrznych, które nie ujawniają się w rzeczywistości w działaniu, jak również w kręgu wewnętrznej miary moralnej typu Conrada. Była to dyskusja na wyrost. Między dyspozycjami literatów w latach międzywojennych i w latach okupacji a tymi postulatami, które stawiał Kott, był bardzo duży dystans. Na ogół dyskusja ta była zwrócona w przeszłość omawiała określony typ realizmu w pewnych momentach historycznych. Doświadczenie historyczne w sprawach literackich mówi nam, jaki mają sens tendencje irracjonalne, witalistyczne, mistyka krwi i ziemi, intuicjonizm, tendencje, które mają swoje odpowiedniki filozoficzne. Rozkładowy proces w literaturze, który zaczął się od czasów naturalizmu, ukazuje się nie tylko w tych tendencjach natury światopoglądowej, dotyczy również samej formy utworu. Jeśli ktoś mówi o realiźmie, to może wypadałoby zapytać — w czym? W powieści? W reportażu? Czy w pamiętniku? Mówiąc o odbudowie realizmu, trzebaby mówić równocześnie o odbudowie powieści, bo powieść może być rozmaicie skomponowana, bardziej epicka czy bardziej dramatyczna, budowa zmieniła się w rozmaitych okresach, ale pewne ogólne normy istniały w kompozycji powieściowej. W części produkcji z lat okupacji, która została teraz ogłoszona, powieść zmieszała się z reportażem i pamiętnikiem. Powstała jakaś forma subiektywnego widzenia, spowiedzi i porachunków, zmieszanych ze szczątkami powieściowymi. Idzie o właściwy stosunek do tych zjawisk. Ukazało się sporo uworów, które nazwałbym amorficznymi. Moim zdaniem nie jest to niczym innym, jak pewnym krańcowym stadium rozkładu budowy powieściowej. Widzimy w opinii literackiej próby uzasadnienia tej amorficznej prozy, nawet na łamach „Kuźnicy". Jak się to uzasadnia? Nie wchodzi dzisiaj w rachubę to, co się nazywało „perwersyjną budową" po tamtej wojnie, nie są to formalistyczne wybiegi. Te czasy dawno minęły. Jeśli się dzisiaj mówi o jakichś subiektywnych normach budowania utworu powieściowego, to te wszystkie normy niesprawdzalne dawno się zbiegły z podstawową tendencją ekspresionistyczną. Według przyjętego uzasadnienia jakieś napięcie przeżywanych treści nie pozwala pisarzowi napisać powieści i zmusza go do szukania nowych gatunków. W ten sposób hoduje się hybrydy, które jako gatunek nie mogą istnieć długo. Nazywam to hydrydami w przenośni, bo w istocie nie ma analogii między biologicznym krzyżowaniem gatunków a procesami literackimi. Można dawać niezmiernie subtelne uzasadnienia tych zjawisk, ale na podstawie doświadczenia historycznego trzeba sobie wreszcie powiedzieć, że są to uzasadnienia bardzo zawodne. Byłoby lekkomyślnością doszukiwać się w takiej amorficznej prozie jakichś nowych gatunków piśmiennictwa. Należałoby przeciwnie, dążyć do wyodrębnienia gatunków w prozie. Jest to dziś praktyczną potrzebą naszego stosunku do literatury, potrzebą krytyki literackiej, która z hierarchii swoich kryteriów powinnaby uwzględniać budowę utworu, jeżeli ma w ogóle zajmować się sprawami form literackich. Myślę, że w toku naszej rozmowy uprzytomnimy sobie jak dalece ta amorficzna proza jest związana z tendencją ekspresjonistyczną.

Ryszard Matuszewski: Dla mnie jest rzeczą niewątpliwą, że rozkład formy powieściowej, który tu został podkreślony, jest ściśle związany z przeżywanym przez nas momentem i właściwie jest pewną naturalną konsekwencją tego wszystkiego, co miało miejsce już po tamtej wojnie, i co po tej wojnie występuje w formie jeszcze silniejszej i nie o odmiennej ze względu na odmienność sytuacji politycznej, socjalnej i psychologicznej. Napewno nie jest to zjawisko z punktu widzenia artystycznego pożądane. Istnieje jednak zagadnienie jak daleko ma sięgać tolerancja krytyki. Czy musimy stawiać za wzór jakiś kanon form klasycznych i to właśnie w dziedzinie prozy, wskazując na doświadczenia dość krótkiego okresu mniej więcej połowy XIX wieku, który mógłby uchodzić za okres zwycięstwa tego kanonu? Czy też raczej mamy to zjawisko uważać za przejściowe i uznać, że ma ono samorzutną tendencję zaniku, ponieważ oparcie się o formy literackie zamknięte leży dzisiaj na linii dążeń każdego na ogół pisarza. Z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że to rozbicie form jest mimo wszystko, wyraźnym załamaniem się możliwości oddania pewnych zjawisk pisarzy w formach dawnych.

Stefan Żółkiewski: Załamanie możliwości jest subiektywne a nie obiektywne.

Ryszard Matuszewski: Zapewne. To też pisarze dojrzalej wdrożeni w pewne łożysko metod pisarskich, na ogół nie rezygnują z konwencjonalnych sposobów wyrażania swojej wizji świata, choć nie zawsze czynią to ze szczęśliwym rezultatem. Natomiast pisarze młodsi, którzy z trudem radzą sobie z materiałem, próbują innych dróg. Niewątpliwie pojawiły się wśród tych rzeczy wypowiedzi bardzo nieudolne, ale zdaje mi się, że trzeba tu wyrazić dwie rzeczy: dążenie do precyzji obiektywnego osądu rzeczywistości, którego gwarancją jest styl, język pisarza, i dążenie do pewnych większych całości kompozycyjnych. Pierwsze mamy prawo postulować: to wynika z naszych założeń racjonalistycznych, mamy prawo zwalczać przerost t.zw. „mowy pozornie zależnej". Zalecać to, czego wymaga logiczna struktura zdania. Natomiast większe układy kompozycyjne są właściwie fikcją. Czy taki typ powieści jaki się wytworzył w XIX wieku to jest jedyną racjonalną formą relacji o świecie i czy nie można wyobrazić sobie innych?

Jan Kott: Krytyk francuski Thibaudet próbował wyabstrahować schemat wzorcowy z powieści jako gatunku. Jeśli go przymierzymy do czegokolwiek to najlepiej będzie pasował do Bourgeta. I okaże się całkowicie nieprzydatny do jakichkolwiek rozważań. Nie można budowy powieści interpretować w oderwaniu od tła historycznego. Rygory, o których mówił Thibaudelt i które utożsamiał z jakąś prawidłową budową, są innego charakteru. W powiastce filozoficznej widzimy pewne pojęcie o świecie, które wymagało w danym utworze wyjaśnienia i rozwiązania. To co się pisało w powiastce, było przykładem i niczym więcej, zbiorem przykładów dla pewnej formy filozoficznej, socjologicznej, rygory budowania były regułą dowodzenia, uzasadnienia pewnej tezy. To dotyczy gatunku literackiego, który jest całkowicie zamkniętą całością, bardzo dawną. Jeżeli weźmiemy, powiedzmy, autorów, których nazywamy przedstawicielami klasycyzmu, jeżeli zastanowimy się jakie rygory obowiązują u Balzaka, prowadząc do cech epickich, to widzimy, że znów są to rygory prawdy historycznej. Jeżeli chcielibyśmy objaśnić różnicę bardziej zwartej powieści u Balzaka, mniej zwartej u Flauberta, posługując się tymi rygorami, dadzą się one ująć w jakiś zespół tez o rzeczywistości społecznej. Mogę powiedzieć, że Balzak ujmował to w postaci tez socjologicznych, tez o przemianach grup społecznych, i tą drogą mogę dojść do zasad konstrukcji Balzaka. U Flauberta rygor wewnętrzny utożsamiony jest w dużej mierze z prawdą psychologiczną „W „Pani Bovarry" widzimy jako rygor który tworzy kompozycję powieści, rozwiązanie losu ludzkiego od narodzin aż do śmierci. Powieść naturalistyczna po Flaubercie zrezygnowała z pojmowania świata jako zjawiska społecznego. Nie selekcja, nie opis, ale wyliczenie. U Zoli zobaczymy dokładne wyliczenie każdej rośliny i mebla, tak jakby wyliczał to jakiś przyrodnik. U Balzaka las jest tak opisany jakby to robił geograf, który podaje nazwy roślin i obszar. Rygor powieściowy jest uzależniony od koncepcji świata. Mógłbym dać inne przykłady powieści, rozłożonej, amorficznej, gdzie po upadku innych rygorów pozostaje jako ostatni rygor związanie z tezą o istocie życia duchowego jednostki, rygor najważniejszego przeżycia. Jest to rygor najbardziej dowolny. Dla jakiegoś normalnego badacza życia społecznego jest to rygor fikcyjny i odpowiednikiem jego na terenie konstrukcji powieściowej będzie konstrukcja, która rezygnując z utartych form budowy, pozwala dowolnie pokazywać na wielu stronicach jakiś drobny fragment życia psychicznego, uznany za najważniejszy, w opisie — jakiś pagórek najważniejszy, który pozwala lekceważyć całą okolicę. Jeżeli już mówimy o gatunku powieściowym, musimy znaleźć zasadniczą tezę społeczną, tezę polityczną o kształcie świata, która odpowiada danym formom tego gatunku. Czujemy wszyscy potrzebę powieści bardziej ścisłej, obiektywnej, rozwijającej akcję. Wydaje się, że analiza ostatniego dwudziestolecia powieści pozwoliłaby na ustalenie zasadniczych tez irracjonalnego poglądu na świat. Natomiast w powieściach kryminalnych istnieje teza najprostsza, że z pewnych faktów wynika pewien skutek. Tu tej tezie odpowiada ścisła budowa powieści.

Adam Ważyk: Łatwo jest przechodzić w analizie od tezy do budowy w badaniu dawnej literatury, tam gdzie mamy zamknięte procesy literackie. Ale tam, gdzie mamy procesy niezamknięte, zasadnicze twierdzenie o odpowiedniości tezy i budowy daje w biegu tych procesów ogromne zawiłości. W biegu tych procesów są momenty nieodpowiedniości między pojęciem autora o świecie a budową utworów. Sprzeczności polegają również na tym, że teza nie jest wyklarowana i gotowa. Idzie o to, abyśmy w biegu dzisiejszych procesów literackich wyraźnie stawiali odpowiedniość tezy i budowy. Fakt, że mamy zawiłość w dzisiejszych procesach literackich, jest aż nadto zrozumiały w naszej epoce. Gdybyśmy się zagłębili w czasy późniejsze po naturaliźmie, obraz musiałby się skomplikować, widzieliśmy stale momenty jakiejś tezy niegotowej, zmieszanej, niewyraźnej. Dziś sytuacja przedstawia się tak, że na poszczególnych odcinkach utworu, lokalnie widzimy dążenie do słusznej według nas tezy, a towarzyszą temu pewne ciążenia nadal do takiego gatunku, który nazwałem tutaj prozą amorficzną i który niewątpliwie nam nie odpowiada.

Stefan Żółkiewski: W praktyce funkcja społeczna krytyki jest tego rodzaju, że krytyk powinien posługiwać się określonymi normami estetycznymi. Rezygnacja z nich na rzecz tylko interpretacji poglądów autora byłaby dotkliwym zubożeniem polityki kulturalnej, byłaby niecelowa. Zwłaszcza, iż można zaryzykować twierdzenie, że w procesie twórczym artysta decyduje się nie tylko na określoną wizję świata, ale również a może przede wszystkim na taką lub inną koncepcję formalną. Ale przy budowaniu systemów takich norm trzeba pamiętać o pewnej trudności metodologicznej.

Wszelkie systemy norm formalnych, norm estetycznych grożą niebezpieczeństwami i błędami poznawczymi formalizmu. A błędy przekreślają wartość budowanej na nich polityki kulturalnej. Ostrzegam więc przed możliwością czysto formalistycznego pojmowania pojęć „rozbicie", „amorficzność" w naszych rozważaniach. Antologicznie rzecz biorąc dzieło literackie jest faktem społecznym jako struktura językowa, jako wyżej zorganizowana wypowiedź. Kryterium, które pozwoli nam daną strukturę scharakteryzować (jako „postać", jako całość!), będzie to zawsze jej funkcja społeczna. Do błędów formalistycznych natomiast doprowadza przyjęcie za kryterium klasyfikacji i charakterystyki jakiejś oderwanej normy. I tak dwie struktury językowe, które dla powierzchownej z konieczności, formalistycznej charakterystyki będą analogicznymi objawami „rozbicia formy", „amorficzności", mogą mieć zupełnie różną funkcję społeczną, jeśli pozornie tożsame elementy mówiąc z grubsza, „budowy" dwu danych wyżej zorganizowanych wypowiedzi, danych utworów będą występować w kontekście odmiennych pozostałych elementów wyżej zorganizowanej wypowiedzi struktury językowej, całościowej, nierozbijalnej w rzeczywistości na elementy i warstwice. Ważną zatem jest tu polityczna ocena funkcji społecznej dzieła. I dziś, teoretycznie, może być hybrydyzm, niewierność wobec czystych gatunków wsteczna i może być postępowa. To zależy od dzieła.

Ostrzegam więc przed przyjmowaniem sztywnych norm formalnych rzekomo jednoznacznych społecznie i politycznie. To może, choć nie musi, prowadzić do błędów.

Dziś gdybyśmy chcieli atakować amorfizm to tylko o tyle, o ile jest on odpowiednikiem formalnym ekspresjonizmu, jako określonej podstawy, sądu o świecie, określonej filozofii, określonej interpretacji dynamiki kultury. Nie należy się trzymać tego go łego sloganu: „Brońmy czystych gatunków literackich w każdym wypadku i zawsze".

My możemy wysuwać to raczej po wyraźnym zdeklarowaniu naszego stanowiska w kwestiach ideologiczno-literackich a ten właśnie program walki z ekspresjonizmem można zdeklarować. Bo o co chodzi w istocie rzeczy. Mnie się zdaje, że głównie niedomaga literatura naszego dwulecia dlatego, że nie wyraża konfliktu, którym żyje całe społeczeństwo, ale wyraża ciągle stosunek inteligencji do świata i samą inteligencję. A jeżeli wyraża jakiś krytyczny stosunek do tego „solipsyzmu" inteligenckiego, to nigdy dostatecznie konsekwentnie. Przezwyciężenie inteligenckości naszej literatury, to jest w tej chwili postulat najważniejszy. Przezwyciężenie polegałoby na obiektywnym pokazaniu rzeczywistości realnych stosunków społecznych, układu i wzajemnego powiązania różnych klas w całości społecznej. Niech świat mówi sam za siebie a nie przez pryzmat złudzeń. Czyste gatunki bardziej sprzyjają tej maksymalnej obiektywizacji. Ze względu na ten postulat, można walczyć o czyste gatunki, ale nie widzę w czystych gatunkach jakiejś wartości bezwzględnej.

Paweł Hertz: Ten gatunek prozy, który moi poprzednicy określają jako „amorficzny" spełnia całkowicie swoje zadanie, ukazując w praktyce historyczną rzeczywistość naszej epoki precyzyjniej, na wyższym poziomie artystycznym i w większej zgodzie z naszymi podstawowymi tezami filozoficznymi niż tyle chwalona proza, zamykająca się w konstrukcji klasycznej. Więc, proszę mi darować, pozwolę sobie wystąpić w obronie „amorficzności".

Jak wiadomo rozkład klasycznych konstrukcji prozy odpowiada rozkładowi form życia społecznego i ekonomicznego. W miarę jak mieszczaństwo, które było prawie jedynym źródłem wielkich świadomych talentów we Francji pierwszej połowy XIX wieku, traci swoją hegemonię na rzecz kulturalnie młodszych warstw społecznych, proza rezygnuje z ambicji pokazywania zamkniętej, związanej przyczynowo konstrukcji świata i mechanizmów społecznych. Następuje odwrót do dywagacji, wspomnień, do obszernego komentarza intelektualnego; powstaje proza, którą nazwano tu „amorficzną".

Ważyk: Nie! Stąd jeszcze było daleko do prozy amorficznej.

Hertz: Wydaje mi się, że ta „amorficzność" jest całkowicie usprawiedliwiona i właśnie na tych tekstach „amorficznych" można się dziś nauczyć, że pomiędzy literaturą i ekonomią polityczną istnieją ścisłe związki. Teraz zajmijmy się oceną sytuacji bieżącej. Czy wielkie zmiany społeczno-ekonomiczne, którym uległa Europa upoważniają nas istotnie do stwierdzenia, że proces rozkładu form w sztuce jest zakończony i że wobec tego, iż weszliśmy w nowe formacje ekonomiczno-społeczne, ten proces dezagregacji form prozy jest zbędny, przebrzmiały czy nawet szkodliwy? Jednym słowem, czy możliwa jest dziś renowacja powieści klasycznej z połowy ubiegłego wieku? Czy taka powieść da nam więcej niż ta proza, którą nazwano tu „amorficzną"?

Powrót do konstrukcji powieściowej według wzoru klasycznego nie wydaje mi się możliwy. Powieść XIX wieku to powieść mieszczańska. Ci mieszczańscy pisarze weszli w okres

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA"

POWIEŚĆ I NOWELA

LOUIS ARAGON
Wielkość i niewola Francji
zł 150.–

KAZIMIERZ BRANDYS
Miasto niepokonane
zł 220.–

I. ERENBURG
Upadek Paryża
zł 300.–

JAN KOTT
Po prostu
zł 300.–

JÓZEF MORTON
Inkluzowe wiano
zł 280.–

S. KLIMCZAK
Od Oki do Szprewy
zł 210.–

JAN PAPUGA
Szczury morskie
zł 200.–

WANDA ŻÓŁKIEWSKA
Kobiety z Limbach
zł 120.–

» K S I Ą Ż K A «

historyczny razem z całą warstwą historyczną, którą reprezentowali i z której pochodzili. Dziś, gdy niewątpliwie kończy się epoka mieszczańskiej hegemonii, jaka jest pozycja pisarzy? W wyniku wielkich zmian politycznych i gospodarczych w wielu krajach Europy, a między innymi i u nas, rozpoczyna się epoka hegemonii warstwy pracujących, epoka okiełznania i podporządkowania kapitału. Hegemonia mieszczańska przestaje istnieć. A pisarze? Czy pisarze, którzy rekrutują się, zwłaszcza u nas, z mieszczańskiej inteligencji, nie są, mimo wszelkich sympatii i całkowitego oddania sprawie przemiany świata, obciążeni swoim dziedzictwem? Nie będę ani bronił ani ganił tych elementów obciążenia, ale jedno jest pewne: w nową epokę historyczną weszliśmy z jakimś dziedzictwem kulturalnym. Są w nim wszystkie elementy wieku XIX i XX, balzakowska konstrukcja świata i „amorficzność". Rzecz prosta, że dla generacji pisarzy młodych uroki dwudziestolecia europejskiego są wciąż jeszcze silne i żywe. To dobrze. Tam jest również wiele rzeczy cennych, jak i w pierwszej połowie XIX wieku. Nasze pokolenie zna dwie komedie ludzkie — balzakowską i proustowską.

Ważyk: Tylko że na literatów działają nie zdolności obserwacyjne Prousta, ale cechy jego budowy, zniszczenie osi czasowej, złuda intuicyjnego poznania.

Paweł Hertz: Z tym, co się dzieje dzisiaj, wielu z nas jest związanych świadomością. Nie zapominajmy jednak, że nasza świadomość społeczna wyprzedza świadomość artystyczną. W każdym razie nie jesteśmy przecież tak ściśle i dokładnie związani z tymi warstwami społecznymi, które ustalają swoją hegemonię, jak pisarze początku XX wieku, którzy byli związani z warstwą oświeconego mieszczaństwa. To też nasze książki zawsze będą w większym konflikcie, z punktu widzenia historycznego, z naszą epoką, niż książki tamte. Ten konflikt jest jak mi się zdaje złączony nierozerwalnie z pojęciem „amorficzności". Byłoby rzeczą ciekawą stwierdzić, że dziś powieść zbudowana według formuły klasycznego kanonu o wiele słabiej i o wiele mniej precyzyjnie wyraża nasz okres, niż te właśnie utwory prozatorskie, które mają wszelkie elementy „amorficzności".

Zasadniczym atutem prozy amorficznej wydaje mi się to, że pozwala ona na bardziej precyzyjny komentarz intelektualny niż w powieści klasycznej. Forma pierwszej osoby, tak charakterystyczna dla typu bronionej przezemnie prozy, pozwala na dywagowanie, na interpelację i ten intelektualny komentarz, w prozie „amorficznej", to precyzyjne kreślenie dziejów typowego konfliktu jednostki na pograniczu dwuch epok społecznych i gospodarczych pozwala nam na dokładniejsze poznanie naszego czasu. Propozycja powrotu do powieści typu klasycznego nie wydaje mi się słuszna. W praktyce jest to „przepis na powieść warszawską", o której pisał Norwid.

Ważyk: Przepis na powieść warszawską nazywa się dzisiaj: „Ucieczka z krainy Lambertów".

Hertz: Rzecz jasna, że powinniśmy krytycznie odnosić się do tych wszystkich gatunków prozy, które zamiast wyjaśniać, zaciemniają, zamiast mówić prawdę, choćby w sposób jaknajbardziej zawiły, kłamią. Sądzę, że powinniśmy akceptować każdy gatunek prozy, bez względu na jej budowę, jeśli tylko książka mówi nam prawdę o świecie. Jaką prawdę? Kryteria prawdy i kłamstwa są tak jednoznaczne w tym zespole dyskutującym, że nie mam ich potrzeby precyzować. Nie wątpię natomiast że w okresie przyszłej stabilizacji ta generacja pisarska, która sformuje się w przyszłości równolegle ze swoją bazą społeczną sięgnie znów do wzorów klasycznych. Pozostaje jeszcze jedna sprawa: ekspresjonizm w prozie. I to istotnie jest ten gatunek, który należałoby ostro zwalczać. Proza ekspresjonistyczna, przy swojej „amorficzności", jest całkowicie bezużyteczna. Pierwiastek intelektualny został zagubiony na korzyść efektów formalnych. A te efekty — to oświetlanie duchowymi fajerwerkami bardzo nietypowych faktów. Nie wiem, czy można dziś mówić o groźbie ekspresjonizmu, ale nawet jeśli obserwujemy tylko oznaki tej bezpłodnej tendencji literackiej — należy im się przeciwstawić.

Jan Kott: Zupełnie jest rzeczą inną, jeżeli w przypadkach szczególnych jedną z zasadniczych tez autora uogólniamy i stwierdzamy, że powinny jej odpowiadać inne podstawy formalne, a zupełnie co innego, jeżeli mówimy o zasadniczej odpowiedniości formy i tezy poznawczej. Istota tezy polega na tym, że możemy przejść od tezy do zasad kształtowania, a nie do poglądów autora. Skoro się walczy o pewne kształty literackie, to dla nas i dla tej dyskusji musi być obojętne, jakie są prywatne poglądy autora. Wydaje mi się, że praca krytyka polega często na pracy podwójnej. Krytyk ma pewne dane o tezie autora i pewne kształty formalne. Przechodząc od kształtów do tezy i naprzemian od tezy do kształtów, krytyk ukazuje autora.

Kazimierz Brandys: Jeżeli się mówi o czystych gatunkach literackich, jako prozaik nadstawiam uszu. W moim resorcie czysty gatunek literacki to powieść. Mówi się wprawdzie: albo powieść, albo reportaż, albo pamiętnik, ale rzecz jasna, że z tych gatunków powieść uważa się za najambitniejszy. To co nie jest ani powieścią, ani repotrażem, ani pamiętnikiem, a jednak jest prozą artystyczną, nazywa się wówczas gatunkiem mieszanym, amorficznym, czy hybrydycznym. Nie zamierzam się zastanawiać, czy ma się prawo te jakoby nieczyste gatunki potępiać, bo wydaje mi się po prostu, że nic nie uzasadnia samego postawienia sprawy, że cały ten podział jest fikcyjny. W czasie, kiedy mamy równocześnie nowoczesny essay, nowoczesny reportaż, stary wzór powieści i pamiętnika, nie widzę powodu, aby obawiać się aliażu tych gatunków w nowych kształtach literackich. To co nazwano tu amorfizmem naszych ostatnich utworów prozy literackiej, jest dla mnie objawem zupełnie naturalnym, związanym z okresem historycznym. Jest to objaw odgięcia, nieprzystawania tradycyjnych konwencyj literackich do nowych form rzeczywistości i świadomości. Powiedział tu ktoś o korespondencji między tezą ideologiczną dzieła a jego zasadami kształtowania artystycznego. Zgoda. Ale z tego punktu nie można atakować amorfizmu dzisiejszej prozy, nie można narzucać jej wzorców artystycznych sprzed stu lat.

Adam Ważyk: A kto to robi? To bardzo wygodne uproszczenie: albo Balzac, albo marmelada...

Kazimierz Brandys: My dzisiaj wiemy o świecie więcej niż Balzak czy Flaubert. Świat Emmy Bovarry to dla nas tylko wycinek współczesnej wiedzy o świecie. Poszerzenie granic świadomości intelektualnej pociąga za sobą próbę poszerzenia świadomości artystycznej, zmiany jej form. Znamy przecież ogrom nowego układu zjawisk ekonomiczno-społecznych. psychologicznych i technicznych, ich wzajemne zależności, najdalsze konsekwencje i najgłębsze przyczyny. Wiemy, jak uwikłany jest w nie los dzisiejszego człowieka. Wiemy tysiące rzeczy o jakich nie śniło się Stendhalowi. Nikomu bym nie radził zasiąść dziś do pisania nowej „Komedii ludzkiej" opartej na konstrukcjach powieściowych Balzaka. Taką powieść mógłby dziś napisać tylko Pan Bóg...

Paweł Hertz: Jeżeli istnieje...

Jan Kott: Pan Bóg?

Kaz. Brandys: Nie, powieść.

Andrzej Stawar: Czy powieść jest Zamkiem Królewskim w Warszawie, który można odbudować? Tutaj używano słowa „amorficzność" w sensie zmieszania i bezkształtności...

Adam Ważyk: Zastrzegam się, że tylko w tym drugim sensie.

Andrzej Stawar: Powiedzmy sobie, że „Don Kichot" też był pewnego rodzaju hybrydą. Parodie są oparte na pewnym łamaniu norm, ale są to rzeczy trwałe, które się trzymają. Otóż co się zawaliło w powieści klasycznej? Było to już dyskutowane dawniej. Schemat powieści klasycznej jest oparty na dziejach rodziny. Rodzina przeżywa kryzys.

Jan Kott. Jaka rodzina przeżywa kryzys? I gdzie mamy dzieje rodziny?

Andrzej Stawar: Właściwie we wszystkich powieściach. Przytaczam zresztą nieswoje spostrzeżenia, ale faktem jest, że w schemacie powieściowym mamy dzieje rodziny.

Jan Kott: Protestuję i powołuję się na Balzaka, na cykl „Straconych złudzeń". Oczywiście, kiedy pisze się o ludziach, to pisze się i o związkach rodzinnych, ale to wcale nie są dzieje rodziny.

Adam Ważyk: Protestuję i powołuję się na Daniela de Foe. Robinson Cruzoe nie miał rodziny. Moll Flanders była podrzutkiem i miała sześciu mężów, ale to wcale nie są dzieje rodziny.

Andrzej Stawar: Doskonały przykład! Daniel de Foe nie jest klasykiem powieściowym.

Adam Ważyk: Tym gorzej dla klasyków. Daniel de Foe jest twórcą powieści o losie ludzkim w społeczeństwie wczesnego kapitalizmu w Anglii.

Andrzej Stawar: W jakiej mierze powieści Balzaka odpowiadały rzeczywistości socjologicznej swojego okresu? Możemy tam odnaleźć obraz społeczeństwa francuskiego, dowiedzieć się, jak ludzie gospodarzyli, co ludzie myśleli. Wówczas to wszystko można było pomieścić. Dzisiaj powieściopisarz robić tego, co Balzak nie może. Bo Balzak żył w czasach, kiedy nie było statystyki, ekonomii politycznej, kiedy te wszystkie rzeczy, które empirycznie człowiek mógł zaobserwować i zamknąć w swoich powieściach stały na poziomie ówczesnej wiedzy socjologicznej. Dzisiaj pisarz temu nie nadąży, musiałby pisać encyklopedię. Dzisiaj takich syntez beletrystycznych nie sposób dać. Ewolucja beletrystyki idzie w kierunku przełamania kanonów klasycznych. Powstał nowy punkt stosunku jednostki i społeczeństwa i stąd pochodzi typ powieści, który od 20 lat wykazuje największej ekspansji. Jednostka jest tym elementem, przez który widzi się społeczeństwo, jej losy odbijają przekształcenia strukturalne tego społeczeństwa, choćby na drobnym odcinku. Oczywiście potrzebne są nam pewne normy, ale elastyczne, nie sztywne. Moim zdaniem zagadnienie stylu jest ważniejsze od kompozycji. W rozważaniach panów ekspresjonizm wygląda na kota, który zjadł wszystkie myszy.

Adam Ważyk: Z braku lepszego słowa nazywamy ekspresjonizmem wszelkie rozbijanie norm jakoby dla wyrażenia „przeżywanych treści". W prozie amorficznej „przeżywanie" zastępuje dyrektywę budowy.

Stawar: Jeśli więc idzie o ustalenie norm, to słuszne i najważniejsze jest historyczne podejście, sięganie do objawów trwalszych, niż te, które trwają po parę lat. Inaczej normy będą ciasne i nie zdadzą się na nic.

Paweł Hertz: Kiedy w książce treść intelektualna jest znikoma kiedy autor niczego nie analizuje, nie stara się niczego wykazać, wtedy zaczynają się te punkty, które można atakować. Ale mam wrażenie, że za rozmaitymi postulatami czai się niebezpieczeństwo, które sami sobie narzucamy.

Adam Ważyk: Naturalnie będziemy z karabinów maszynowych strzelali do amorfistów.

Paweł Hertz: Pierwsza kula trafi w twoje serce.

Kazim. Brandys: Nie mamy prawa walczyć z załamaniem się formy powieściowej w ogóle. Możemy natomiast walczyć z pewnym rodzajem załamania się tej formy. Otóż rozróżniam dwa takie rodzaje. Pierwszy jest postępowy, drugi histeryczny. Jeśli przełamuje się formę literacką w celu znalezienia nowych zasad przedstawienia artystycznego dla zmienionej rzeczywistości, jeżeli się dąży do literackiego jej opanowania w myśl nowych uświadomień ideologicznych — możemy spać spokojnie. Jeżeli natomiast forma załamuje się bezpośrednio, jeżeli to załamanie jest tylko histerycznym gestem — protestu, rozpaczy czy niesmaku wobec zmienionej rzeczywistości, której autor zrozumieć i skomponować nie potrafił, wtedy dzwoniłbym na alarm...

R. Matuszewski: Ale jak odróżnić jeden rodzaj od drugiego?

Jan Kott: Jest jeden czysty gatunek powieści: to jest powieść kryminalna.

Ważyk: To co Brandys nazywa psychologicznie histerią, po przełożeniu na język sztuki pokrywa się z ekspresjonizmem.

Brandys: Zgadzam się całkowicie.

Ważyk: Tylko że ja się nie zgadzam na fikcyjne rozróżnienia. Krytyka jest od tego, żeby stosować kryteria. Jeżeli stosuję kryteria do stylu, a nie stosuje ich do budowy, to znaczy, że zgadza się na jakąkolwiek i po prostu źle spełnia swoje zadanie. Balzak jest nie powtarzalny w swoim materiale, w stylu i budowie nie dlatego, że przypada na okres uboższej wiedzy o świecie, ale dlatego, że świat, który odtwarzał, był światem rozkwitającego kapitalizmu. Świat socjalistyczny czy świat demokracji ludowej w okresie swojego rozkwitu będzie się w najistotniejszych swoich związkach różnił od społeczeństwa Balzaka. Wróćmy przecież do chwili obecnej. Inaczej trzeba odnosić się do rozbijania norm w okresie wojennym, inaczej w dzisiejszym. Powinniśmy rozumieć tragizm tamtego okresu. Powieściopisarz mógł mieć subiektywne poczucie, że buntowniczo łamie ustalone normy, że nie chce się w nich pomieścić, a tymczasem obiektywnie mieścił się w ogólnym procesie rozkładowym. Doświadczenia historyczne i świadomość literacka powinna go dzisiaj z tej drogi sprowadzić. Jeżeli dzisiaj powieściopisarz sądzi, że musi uprawiać jakąś prozę amorficzną, aby się lepiej wypowiedzieć, to poddaje się złudzeniom. Czy można, jak chcieliby niektórzy, bronić takiej prozy, jako objawu własnej ułomności, uznawać, że inna jakaś generacja, z innej formacji kulturalnej, będzie dążyła do harmonii między tezą, a świadomym wyborem formy a my tymczasem zamiast przyśpieszyć te dążenia będziemy je opóźniali? To znaczy wlec się w ogonie, zamiast torować drogę przyszłości. Nie mówmy o powrotach, o kalkulowaniu norm przeszłorocznych, ale dla pisarza w przeszłości są drogowskazy, sygnały ostrzegawcze, doświadczenia. Tak samo dla krytyka.

Hertz: Oczywiście wiele utworów konkretnych nie jest powieścią. Z tego nie wynika wcale że nie mają prawa obywatelstwa.

Ważyk: Owszem. Mają te prawa, tylko że nie zastąpią powieści.

Hertz: W tej chwili najobiektywniejszy obraz świata w naszej literaturze jest zawarty w utworach, które odbiegają od tego co nazywamy powieścią.

Ważyk: To bardzo źle.

Brandys: Nie wiadomo co jest powieścią a co nie.

Kott: Wiadomo. Można lekceważyć pojęcia formalne, ale istnieje odrobina zdrowego rozsądku.

Ważyk: Nie bądźcie na lewo od zdrowego rozsądku.

Żółkiewski: Ja myślę, że w rozmowie naszej wartoby odróżnić nasz praktyczny dylemat od ostro zarysowanych przeciwieństw dla celów dyskusji. Czy można posługiwać się jakimikolwiek systemami norm estetycznych w kształtowaniu życia literackiego, czy można je budować w imię jakiejś estetyki — czy też należy się powstrzymać od tego? Takie ostre zarysowanie dwóch przeciwieństw nie ma miejsca, bo ani za jednym ani za drugim nikt się nie opowiedział. Do dyskusji nadaje się jedno stanowisko: czy my jako grupa, która walczy o różne postulaty ściśle określone, jak np. filozoficzne czy polityczne, mamy prawo i obowiązek również walczyć — nie o system estetyki, ale na dzisiejszym etapie potrzeb i dojrzałości o pewne oderwane postulaty formalne, które narzuca życie, których sens społeczny, których funkcja polityczna w życiu literackim, w kulturze jest jednoznaczna i odpowiada naszemu ogólnemu stanowisku ideowemu, polityce kulturalnej, którą forsujemy. Myślę, że na to godzą się rozmówcy. Następnie: czy nasz zasadniczo krytyczny stosunek do przekazanego nam po okresie międzywojennym rozbicia czystych gatunków epickich spycha nas nieuchronnie do wzorca balzakowskiego i każe przekreślić wszystkie osiągnięcia doświadczeń i buntu postępowych pisarzy lat międzywojennych? Myślę, że słuszność historyczna wymaga pozytywnej oceny dzieła „rozbijaczy" form w okresie międzywojennym, ale jednocześnie wymaga poniechania tego procesu dzisiaj. Wzorzec balzakowski zaś mamy prawo jednocześnie uważać za wysoce wychowawczy dla pisarzy i za zupełnie zeszłowiedzny, nie do powtórzenia dzisiaj.

TREŚĆ NR 51:

Jan Kott — **Dzieje Anny. Julian Tuwim** — Wiersze **Z „Kwiatów Polskich".** Bolesław Dudziński — **O jedność klasy robotniczej.** Kazimierz Brandys, Paweł Hertz — **Dialogi paryskie.** Andrzej Stawar — **Tadeusz Żeleński-Boy (orientacje kulturalne).** Tadeusz Borowski — **Bitwa pod Grunwaldem.** Ryszard Matuszewski — **W sprawie „Kampanii wrześniowej".** Wanda Żółkiewska — **Książki Brzechwy.** Wanda Grodzieńska — **Powieści dla młodzieży.** Ewa Korzeniewska — **Kobiece relacje obozowe.** Stefan Otwinowski — **W Krakowie.** Kandyd — **Tak toczy się światek. Przegląd Prasy. Korespondencja. Noty.**

Najmilszy podarunek to książka „WIEDZY"

J. Żuławski	— Na srebrnym globie	zł 380,—
W. Gąsiorowski	— Huragan (2 tomy)	zł 600,—
J. St. Mill	— Autobiografia	zł 300,—
J. Mulak	— Wojsko podziemne	zł 150,—
J. Bainville	— Dzieje Francji (Wyd. J. Przeworskiego, Skład Główny „Wiedza")	zł 850,—
O. Kuźniecowa	— Wróg pod mikroskopem	

KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

C. Collodi	— Pinokio	zł 250,—
A. A. Milne	— Kubuś Puchatek	zł 260,—
W. Disney	— Królewna Śnieżka	zł 300,—
J. Korczakowska	— Dzieci podwórka	zł 180,—

NOWOŚĆ! KSIĄŻECZKA Z WYCINANKAMI

Teatr — Bajka dla dzieci

Historia cała o niebieskich migdałach zł 150,—
Nap. L. Krzemieniecka.
Dekoracje, ubiory, charakteryzacja — M. Puchalski.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

KAZIMIERZ BRANDYS

KOMENDANT ODWETU *)

— Niech się pan niczemu nie dziwi — szepnął mi Doktor do ucha, zamykając za mną drzwi. Była punktualnie piąta. Czułem się słabo, ale przytomnie. Kolana drżały mi lekko po aspirynie, zażytej na noc w mocnej dawce. W korytarzu było już ciemno, ale szpary w drzwiach po prawej ręce przepuszczały światło. Stamtąd dochodził gwar.

— Czyż dziwiłem się dotychczas? — odparłem z uśmiechem, którego nie mógł dostrzec.

Zawahał się.

— Niech się pan nie dziwi niczemu, co nastąpi w związku... z pańską osobą — powtórzył z naciskiem i dotknął palcem mojego ramienia.

Cofnąłem się w przelotnej panice.

— Co pan chce ze mną zrobić? — wyjąkałem szukając za sobą rękami drogi odwrotu. Ale już czułem na sobie jego ciężką dłoń.

— Nic złego. Niech pan niczemu nie przeczy, cokolwiek bym mówił. Jest mi pan dziś potrzebny. Naprzód.

Popchnął mnie lekko przed siebie i otworzył drzwi. Znalazłem się w obszernym pokoju podobnym do mego. Kilkunastu mężczyzn patrzało na mnie stojąc w milczącej, sztywnej postawie. Dzieliło nas kilka kroków, ale nie mogłem rozróżnić ich twarzy w skąpym świetle. Zasłony były spuszczone. Czułem zaduch tego pokoju nie wietrzonego zapewne od dawna. Szara mgła dymu otulała lampę. Staliśmy naprzeciw siebie, Doktor za mną o krok; przyglądałem im się bystro zadzierając nieco głowę, bo byli wyżsi niż ja. Oni milczeli bez drgnienia, wciąż nie zmieniając postawy, ale ich oczy skierowane były na mnie i czułem, że to ja jestem główną osobą tej chwili.

— Panowie — rozległ się za mną donośny głos Doktora. — Zbliża się moment rozstrzygający dla misji, jaką pełnimy w służbie narodu, którego wielkość jest nam najwyższym prawem. Moment ten wymaga skupienia sił i bezwzględnego posłuszeństwa. Bóg, kierując ślepą ręką najeźdźcy naszej ziemi, uwolnił nasz naród od pasożytów ssących od wieków jego odżywczą krew. Wyzysk, oszustwo, zgnilizna moralna, podstępne macki internacjonalizmu zostały wypalone ogniem i żelazem. Nie przeszkadzaliśmy temu. Punkt naszego programu, przy którym trwamy od dawnych, przedwojennych lat, został wypełniony bez utraty jednego człowieka z naszych kolumn. Żydostwo przestało istnieć. Zgodnie z instrukcjami Centrali wydałem wówczas rozkaz: stać z bronią u nogi, ale gdzie można — pomagać w akcji oczyszczania. Panowie! Rozkaz mój został spełniony. Dziękuję wam wszystkim, kierownikom komórek bojowych OKA, za ofiarność i zrozumienie, jakie wykazaliście w pracy.

Słowom tym nie zaprzeczył żaden szelest. Zebrani słuchali bez ruchu, w wyprężonej postawie. Doktor postąpił naprzód kilka kroków i stanął między mną a nimi, ukazując mi swój urodziwy profil. Powiodłem wzrokiem po nagich ścianach pokoju. Kolana wciąż mi drżały, ale wiedziałem, że nie mogę usiąść, bo byłem punktem kluczowym tej zagadkowej sytuacji, która, co dziwne, nie sprawiała mi przykrości.

— Panowie — ciągnął dalej Doktor po krótkiej przerwie, podczas której oczy wszystkich zwróciła na siebie włochata ćma wirująca z hałasem wokół szklanej lampy. — Wkraczamy w decydujący okres walki, który nazwę okresem wymiaru sprawiedliwości. Karzące ramię oszukanego narodu zwróci się przeciw wszystkim jego gnębicielom i odstępcom. My stanowimy to ramię! Każdy, kto nie zechce tego zrozumieć, będzie przeciw nam. Każdy, kto się temu sprzeciwi, padnie powalony naszą pięścią. Pamiętajcie, że słowo Odwet, które jest naszym najświętszym hasłem, nie oznacza tylko zemsty na najeźdźcach, ale przede wszystkim jest to odwet na zdrajcach wewnętrznych, zausznikach obcych potęg, grożących Polsce, Europie i światu. To nie jest walka polityczna, to jest święta straż u boku Ojczyzny, która zawisła na krzyżu z podżegań żydostwa — szepnął tak przejmująco, że przeszył mnie mimowolny dreszcz zgrozy na myśl o pochodzeniu mego garnituru w prążki, który przenicował mi przed siedmiu laty mały, czarny krawiec z żydowskiej dzielnicy naszego miasta, człowieczek pracowity i pokorny, zajęty na pozór wszystkim innym niż wciąganiem na krzyż narodu, którego synom szył dwurzędne ubrania na spłaty.

W pokoju zapanowało milczenie bardziej głuche niż w kościele w chwili Podniesienia i wydało mi się, że słyszę przez ścianę cykanie sprężyn w moim zegarze, co wzruszyło mnie. Doktor opuścił rękę i włożył ją do kieszeni marynarki, natomiast prawą przygładził włosy, co uczyniwszy rzekł prawie spokojnie:

— Panowie! Czeka nas wielka próba czynu, o której wiecie. Wyrok zapadł na człowieka, który został gubernatorem naszego okręgu. Człowiek ten, jako szef policji niemieckiej w stolicy, prowadził rozmowy z przedstawicielami naszej Centrali w sprawie wyłonienia z OKA Polskich Drużyn Bojowych do walki z Żydami i komuną. Gdy nasi delegaci zażądali polskich mundurów i czapek z orzełkami, uwięziono ich. Oto dlaczego przypadnie mu w udziale czarna gałka śmierci z naszych pistoletów! Karzące ramię OKA wszędzie dosięgnie swych wrogów!

Ponieważ parę osób zaczęło kaszleć, a ćma znów nadziała się na lampę z głośnym brzęczeniem, Doktor przerwał, otarł chustką czoło i potoczył okiem po zebranych, nie wyłączając mnie. Czułem się niespokojnie, bo moja sytuacja na tle tego zgromadzenia i ogólnych losów narodu, które malował Doktor, wciąż była nieustalona. Ale stałem posłusznie, dziwiąc się tylko ponurości pokoju, w którym mieszkał mój sąsiad. Nagie ściany, kanapa, szafka, kwadratowy stół i kilkanaście krzeseł. Zacieki na suficie, krzyż nad kanapą, koło okna fotografia kobiety z psem i stary lep na muchy. Mój zegar za ścianą wydzwonił godzinę. Było pół do szóstej.

— W ostatnim czasie spotkałem się z objawami nieufności z waszej strony, panowie. Stawialiście mi zarzuty tak daleko idące, że ich odparcie było dla mnie niemożliwe ze względu na tajność pewnych spraw, o których muszę milczeć z nakazu Centrali. Było to dla mnie tym bardziej bolesne, że nie umieliście tego zrozumieć — szepnął lirycznie i westchnął opuszczając głowę na pierś, a ja nadstawiłem uszu.

— Jest to dla mnie tym bardziej bolesne, że nastąpiło w okresie, w którym wszyscy powinniśmy byli być skuci nierozdzielną więzią jednego zamiaru i jednego czynu. Przyjaciele — podniósł głowę, przekrzywiając ją na bok z wyrazem hamowanego cierpienia — wybaczam wam. Ale wybaczyć wam mogę tylko w swoim sercu. Sprawa musiała ujrzeć formalne rozstrzygnięcie i dlatego zwróciłem się do Centrali z prośbą o przysłanie delegata Najwyższej Komendy Czynu. Człowiek ten stoi przed wami, panowie. Rozkazuję: baczność!

Dwunastu mężczyzn drgnęło i znów zastygło w zupełnej nieruchomości, Doktor cofnął się o kilka kroków i wyprostował się przede mną w tej samej postawie; ja dygotałem z przejęcia, patrząc mu w twarz jak w obraz własnych przeznaczeń.

— Komendancie! — oznajmiał mi donośnie, przyciskając ręce do szwów spodni. — Melduję podległy mi zespół dowódców komórek Okręgowej Komendy Odwetu w stanie dwunastu ludzi. Milczenie i spokój — szepnął mi ukradkiem, odwrócony tyłem do zebranych.— Ani słowa. Tak jak dotąd.

Skłoniłem głowę w milczeniu, co można było uważać za przyjęcie meldunku.

— Spocznij — rozkazał zgromadzonym i uczynił ręką gest zapraszający do zajęcia miejsc. Krzesła ustawione były w dwóch rzędach między stołem a oknem. Przy stole stały tylko dwa, co pozwoliło mi się domyślić, że siądziemy na nich ja i Doktor. Kierownicy komórek bojowych sadowili się wśród szurgotu i szeptów w swych krzesłach, my obydwaj czekaliśmy stojąc na dawnych miejscach — Doktor blady, z kosmykiem na czole, ja spokojny, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

— Niczemu nie przeczyć... — szepnął mi w ostatnim momencie, gdy tamci uciszyli się wreszcie. Skinąłem głową z wyrozumiałym uśmiechem. Nie doceniał mnie jeszcze. Pierwszy wysunąłem się naprzód i zanim usiadłem na krześle, zwolna powiodłem wzrokiem po zebranych. Tęgi brunet w pierwszym rzędzie siedział dość niedbale, wysuwając przed siebie założone nogi. Chłodno zmierzyłem go spojrzeniem od czubków stóp do oczu. Zmieszał się, cofnął nogi i poprawił się na krześle. Chwilę czekałem jeszcze, trzymając ich w zasięgu spojrzenia, po czym rzekłem oparłszy rękę o skraj stołu:

— Dziękuję panom. — I wskazałem Doktorowi miejsce obok siebie.

On, siadając, spojrzał na mnie z niespokojnym szacunkiem, ale ja nie zważałem na to i wyjąłem z kieszeni notes i ołówek. Położyłem je przed sobą na stole. Czułem łaskotki w krtani, bo tym razem brała mnie chęć na śmiech. Zdziwiłem go. Nie znał mnie jeszcze. Ja sam nie miałem pewności, kim się tu jeszcze okażę. Za szybami zaszumiał wiatr i deszcz. Ta jesień była zmienna. Czarne zasłony odgradzały nas od niej. Szkoda. Lubiłem patrzeć jak zaułek pogrąża się w wilgotnej mgle. Ale i tak działo się to teraz poza mną. Wszystko mogło się dziać poza mną.

— Obecnemu tu delegatowi Najwyższej Komendy Czynu—zaczął Doktor — złożyłem ścisłe rachunki z mojej działalności. Powiadam: rachunki i akcentuję finansową stronę tego słowa, albowiem zarzuty, jakie mnie spotkały od was, panowie, tyczyły tej właśnie dziedziny mojej działalności. Wreszcie, i to muszę wam oznajmić z najgłębszym wzruszeniem, Najwyższa Komenda Czynu przesłała mi przez swego wysłannika chlubne odznaczenie za wierność. Na tej piersi, której serce, chciejcie wierzyć, koledzy, nie bije dla zaszczytów, zawiśnie wkrótce Wielki Krzyż Odwetu — tu Doktor dotknął palcem marynarki w miejscu, gdzie biło jego bezinteresowne serce, i opuścił głowę. W pokoju panowała cisza. — To wszystko spotkało człowieka, któremu zarzuciliście w oczy, że okrada kasę OKA — westchnął po minucie milczenia i otarł chustką czoło.

Gromadka w krzesłach poruszyła się niespokojnie. Brunet w pierwszym rzędzie pochylił się do ucha swego sąsiada i szeptał przez chwilę Z tyłu, spod ściany, odezwał się ktoś półgłosem: — Dobrze. Ale co z poborami? Kieszeń sucha.

Głos ten uzyskał poparcie z lewej strony, w której rozległo się chrząknięcie pełne aprobaty, a w środku ktoś wstał z krzesła i zaczął mówić: — Żądam głosu. — Ja, o ile pamiętam, stukałem ołówkiem w stół, podczas gdy Doktor napominał w podnieceniu:

— Panowie, proszę o spokój! Pobory zostaną wypłacone! Biorę to na siebie.

Lecz gwar nie ucichł. — Żądam głosu — nastawał uczestnik z centrum. Brunet z pierwszego rzędu patrzał na mnie, co wydawało mi się irytujące. Moja sytuacja była drażliwa. Nie bałem się, lecz czułem, że mój prestiż delegata wystawiony był na szwank. Otworzyłem notes i napisałem w nim: „Doktorze! Co mam robić? Jak się zachować? Proszę o instrukcje".

On wstał z krzesła i przemówił cicho, trzymając zebranych siłą wzroku spod ściągniętych brwi:

— Pobory będą wypłacone po zamachu — ustalił zwięźle. — Najpierw zamach, a potem pobory w trzykrotnej wysokości.

Zebrani naradzali się półgłosem, a tęgi brunet kiwał głową wysłuchując z namysłem blondyna z zadartym nosem, który pochylał się do jego ucha. Ten blondyn w ubraniu z eleganckiej pepity, wymachiwał rękami tłumacząc mu coś długo. Na prawo, koło okna, powstała osobna grupka: kilku ludzi zsunęło tam krzesła rozprawiając szeptem. Jeden z nich podał w pewnej chwili szybkim ruchem kartkę brunetowi, który odczytał ją, nadal słuchając blondyna, po czym znów kiwnął głową i zmiął kartkę w ręku. Spod ściany jakiś głos mruczał nieugięcie: — Nie ma o czym mówić. Kieszeń sucha.

— Proszę o spokój — zawołał Doktor bijąc dłonią w stół. — Kto chce zabrać głos, proszę. Kolejno.

— Proszę o głos — wyciągnął rękę blondyn w pepicie i wystąpił naprzód. Był to młody chłopak o ładnej, aroganckiej twarzy. Miał długie, lśniące buty z cholewami i luźną marynarkę o spiczastych ramionach, której elegancja wydała mi się niedyskretna.

— Koledzy—zwrócił się do zebranych —pozwolę sobie wypowiedzieć parę uwag na temat akcji w obliczu wewnętrznego położenia kraju. Mówmy jasno i szczerze. — Włożył ręce do kieszeni marynarki i zadarł głowę z cofniętym podbródkiem, pokazując mi grdykę nad dużym węzłem krawata.

— Wbrew temu, co twierdzi Doktor— zaczął — ośmielam się zauważyć, że teren nie jest tak dokładnie oczyszczony z żydostwa, jakby się mogło wydawać. Nie patrzmy przez zbyt różowe okulary, koledzy. W mieście i po okolicznych wsiach nadal ukrywają się Żydzi. Jest ich wielu również w lesie. — Tu wskazał ręką w stronę zasłoniętego okna, za którym na wzgórzach jeżył się ów las. — Władze niemieckie zbyt mało znają teren i stosunki, aby móc ich wszystkich wytropić. Po oczyszczeniu getta w stolicy tysiące żydostwa, które uniknęły gazów, rozlały się po całym obszarze kraju. O tym należy pamiętać. Nie spoczywajmy na laurach na tym odcinku akcji, który, nie wątpię, wszyscy uważamy za najważniejszy. To jedno. Po drugie: sądzę, że każdy z kolegów wie o tym, co dzieje się w ruchu podziemnym nie związanym z OKIEM. Wywrotowcy i masoni obsiedli sztaby. W tym świetle projekt zamachu na przedstawiciela narodu, który zwalcza wrogów Polski, wydaje mi się niecelowy. Sytuacja układa się w ten sposób, że nasze interesy przynajmniej na razie są wspólne. Czyż byłoby pożyteczne zwalczać tych, którzy zwalczają naszych przeciwników? Mówię realnie: proponuję odłożyć zamach. Niech organizacje rządzone przez londyńskich masonów tracą ludzi. Im będą słabsze, tym lepiej dla nas. Skończyłem.

Skończył istotnie i eleganckim ruchem zajął swe miejsce unosząc poły długiej pepity. Wśród zebranych rozległ się przychylny szmer, pod ścianą ktoś zaklaskał. Spojrzałem na Doktora. Kreślił pośpiesznie w notesie, czarne pasmo włosów zwisało mu na brwi. Podał mi kartkę: „Niech Pan odpowie temu durniowi, że taktyka organizacji należy do Centrali. Przecież to Pana obraża jako

*) Rozdział powieści „Drewniany koń". — Czytelnik 1946.

delegata komendy! Idzie o pański prestiż. Sam Pan to rozumie".

Wziąłem ołówek i odpisałem mu na tej samej kartce: „Sąsiedzie. Nie mogę. Błagam Pana, niech mnie Pan wyręczy. Czuję się słabo". Doktór odczytał odpowiedź, mruknął niechętnie pod nosem i wstał z krzesła.

— Panowie — rzucił krótko. — Taktyka Centrali nie podlega dyskusji. Mimo to obecny tu delegat upoważnił mnie do złożenia wyjaśnień: zamach na przedstawiciela Trzeciej Rzeszy jest aktem jednorazowym, który powinien wzmocnić nasz autorytet w oczach społeczeństwa i dać pokrycie moralne naszym przyszłym wyrokom na zdrajców. Po zamachu nadal będziemy tępić wrogów narodu i nie opuścimy rąk, póki niszcząca siła żydostwa, komuny i masonerii nie zostanie obrócona w niwecz. To wszystko. Proszę zabierać głos.

W tej chwili spod okna podniosła się mała figurka i wystąpiła naprzód. Nowy mówca miał na sobie sportową kurtkę i biały sweter zawinięty pod szyją. Jego mały łebek lśnił w świetle lampy; używał widać pomady. Był to człowieczek smagły, o czarnych, latających oczkach, płaskim nosie i baczkach.

— Koledzy — zaseplenił, wysuwając główkę naprzód, jak wyżeł węszący trop. — Pytam, co Centrala nam daje w zamian za naszą pracę? Nie chodzi mi o pieniądze, ale nie można wymagać od ludzi, aby za darmo nadstawiali głowy. Za to — przesunął palcem po gardle wyszczerzając zęby — trzeba coś mieć. Pobory nie wypłacone, moim ludziom oczami muszę świecić, bo nie chcą pracować za dobre słowo. Nie mówię o sobie. Ja mogę czekać, ale oni nie. Niektórzy robią na własną rękę po wsiach i chłopi krzyczą gwałtu, że rozbój. Rozbój, nie rozbój, ale pieniądze muszą być wypłacone, bo inaczej kwita. Więc jedno. A drugie: Komendant dostał krzyż. Dobrze, ale co my? Mnie nie chodzi o pieniądze, nie trudno zarobić. Ale powiadali nam o awansach, odznaczeniach, więc jakże? Ani pieniędzy, ani odznaczeń? Tak nie wypada. Za to — powtórzył swój gest palcem na gardle — mówię, trzeba coś mieć.

— Racja. Krzyże dla kierowników komórek bojowych! — mruknął ktoś z boku, a brunet kiwnął głową na poparcie.

— Pobory i odznaczenia będą po zamachu — zapewnił Doktór pojednawczo. — Rozumiem wasze troski, kolego. Niczyje zasługi w OKU nie zostaną zapomniane, wierzcie mi Jeśli komendant pozwoli, wyłożę instrukcje Centrali — zwrócił się do mnie, na co głęboko skinąłem głową. Obecny tu delegat Najwyższej Komendy Czynu, jeden z trzech przywódców Wydziału Bojowego OKA, będzie w mieście w czasie akcji. Jest on współtwórcą planu zamachu i na miejscu podpisze nominacje ludzi, których mu podam. Koledzy, oczy narodu zwrócone są na was Proszę o zajęcie miejsc przy stole. Czy komendant pozwoli zreferować rozkład zadań bojowych? — zapytał mnie z szacunkiem. Znów pochyliłem głowę na znak przyzwolenia.

Kierownicy komórek bojowych przysunęli krzesła i zasiedli przy stole. Wieniec obcych twarzy otoczył mnie z lewej i z prawej. Unikałem ich spojrzeń i zacząłem pisać w notesie jakieś słowa, aby wydać się mniej bezradnym. „Doktorze, gubi pan ich, siebie i mnie". — Skreśliłem sześć wyrazów i chciałem mu je pokazać, ale on tymczasem wstał i zdjął z gwoździa fotografię kobiety z psem. Rozciął scyzorykiem tekturę od spodu i wyłuskał z niej szeleszczącą bibułę, którą zaczął rozkładać na stole. Była to obszerna mapa, kreślona kolorowym tuszem. Zebrani pochylili nad nią głowy, Doktor stał oparty obydwiema rękami o stół, lampa rzucała żółte światło na jego rozpłaszczone dłonie.

— Oto pole chwały — rzekł i wziął ołówek w dwa palce. — W tym miejscu zginie zbrodniarz śmiercią, na jaką zasłużył. Szosa, pole, zaułek, kamienica — wskazywał po kolei. — —Proszę słuchać uważnie. We wtorek o godzinie ósmej rano auto gubernatora pojawi się na tym zakręcie. Mam ścisłe informacje, za które ręczy Centrala. Auto będzie bez ochrony. Gubernator, adiutant, szofer i żandarm z rozpylaczem. Oto cała załoga. Powtarzam: żadnej ochrony. Zadanie bojowe jest dziecinnie łatwe. Za bezpieczeństwo gwarantuję gardłem. Nasza siła ognia: dwa cekaemy, granaty, pistolety ręczne i maszynowe. To mówi samo za siebie. — Bębnił końcem ołówka po stole i patrzał po twarzach zebranych.

— Samochód zdąży za zakrętem rozwinąć szybkość; umknie...—mruknął sceptycznie brunet, schylony nad mapą.

— Nie umknie—uśmiechnął się Doktor i dotknął ołówkiem punktu na linii szosy. — Tu będzie stała furmanka w poprzek drogi. Trudno czasek chłopkowi wykręcić z jedną szkapą, auto będzie musiało zatrzymać się. Proszę notować — uciął krótko. — O godzinie siódmej rano wszyscy na stanowiskach. Fundamenty: trzech ludzi, czołówka akcji. — Cekaem i inne drobiazgi w ilości wystarczającej. Oto oni — pokazał trzy godła wpisane w kwadracie przedstawiającym stare fundamenty obok szosy i spojrzał po kolei na bruneta, blondyna i mówcę z baczkami. — Oto awanse, odznaczenia i sława.

— Amunicja? — zapytał blondyn w pepicie, marszcząc nos.

— Amunicję i broń przeniesie Surma w nocy z poniedziałku na wtorek i sam będzie czekał od świtu w fundamentach. Nie chciałem dopuszczać go do akcji, bo nie był mi potrzebny. Ale napraszał się, płakał i błagał, więc wreszcie przydzieliłem go wam do pomocy. Wariat, ale ma odwagę i doświadczenie bojowe z wojny. Niechże więc i on. Oddał nam zresztą duże usługi przechowując materiał. Uwaga: deski w fundamentach. Rodzaj kładek — służą do szybkiego opuszczenia stanowiska po akcji Jest ich trzy. Surma ułoży je odpowiednio. Fundamenty są dosyć głębokie. Sama akcja prosta. Na początku granaty, potem seria cekaemu, aż do skutku. Pistolety w drogę powrotną, na wszelki wypadek. Wycofywać się w stronę zaułka przez wyłom w murze. Wiecie zresztą — oznaczył końcem ołówka ów wyłom, który co dzień oglądałem przez okno. Teraz inne stanowiska. Wzdłuż szosy, w polu, po obu stronach fundamentów, sześciu ludzi w starych rowach strzeleckich, trzech na lewo, trzech na prawo. Rozpylacze i granaty. W każdym rowie godło.

Istotnie w smukłych czółenkach, wyrysowanych tuszem, widniały literki. Były to miniaturki rowów, w których ginęli żołnierze, broniący niegdyś naszego miasta.

— Rafał, Drozd, Wallenrod, Hubka... —wyliczał Doktór imiona, kolejno wskazując stanowiska w rowach. Nie starałem się sprawdzać, do których twarzy należą te godła. Współczułem im tym bardziej, że byli widać nie mniej bezsilni wobec tego człowieka, niż ja.

— Zadanie bojowe tej grupy: koncentrować ogień w wiadomym punkcie, unicestwiać możliwe przeszkody z lewej i prawej strony oraz osłaniać odwrót. Uwaga: nikt z tej grupy nie otwiera ognia. Wszyscy czekają na granaty z fundamentów, które wyrzuci Przytyk— zwrócił wzrok na mówcę z baczkami, który świsnął przez zęby i zmrużył oko. — Grupa wycofuje się w tę samą stronę, uliczką do zakrętu. Grupa trzecia — skandował dalej, wybijając rytm ołówkiem. Trzech ludzi w rumowiskach naprzeciw kamienicy, w której jesteśmy obecnie. Pistolety ręczne. Zadania: obserwacja schodków i zakrętu. Idzie o tyły. Walić do każdego, kto pojawi się z tej strony i może przeszkadzać. Czekać na koniec akcji i wycofać się przodem do zakrętu. Za zakrętem, na lewo, będzie nasze auto. Uwaga: to dotyczy wszystkich. Auto będzie czekać w tym miejscu, a tu rumowiska. Przytknął koniec ołówka do zakreskowanego prostokąta, na którym niedawno dzieci bawiły się w wojnę.

— Doktór będzie czekał w aucie, rozumie się? — warknął zgryźliwie brunet znad mapy.

— Nie — wycedził Doktor przez zęby, sznurując szyderczo usta. — Doktor nie będzie czekał w aucie. O moim stanowisku powiem osobno. — Bawił się ołówkiem spoglądając po zebranych.

— A kto będzie przy aucie? — dowiadywał się niespokojnie blondyn w pepicie, znów marszcząc zadarty nos.

— Nasi ludzie — przeciął Doktor i zabębnił ołówkiem. — Auto przysyła Centrala. Czy tak? — zwrócił się do mnie. Po raz trzeci pochyliłem głowę.

— No więc — ciągnął dalej w ogólnym milczeniu — sprawa jasna. Auto bierzemy na siebie. A teraz o mnie. Ja, koledzy — podniósł głos i znów rozpłaszczył ręce na stole — zajmę stanowisko przy cekaemie na dachu tego domu. — Jest to pozycja najcięższa z uwagi na utrudniony odwrót. Będę tam sam. Moje zadania: lornetować teren, wypatrzyć auto gubernatora na szosie, która z tej pozycji będzie widoczna jak na dłoni.— Wysunął dłoń i stuknął w nią wskazującym palcem prawej ręki. — Wszelkie możliwe przeszkody i wszelkich niepożądanych świadków likwiduję stąd jedną serią cekaemu w szerokim promieniu. Otwieram ogień razem z wami. Odwrót to moja rzecz. Znam tyły kamienicy.

Przerwał i patrzył z natężeniem po twarzach obecnych. Panowała głucha cisza. Za ścianą mój zegar znów wydzwonił godzinę.

— Jeden człowiek nie podoła temu zadaniu — mruknął nieufnie brunet. — Lornetować, celować, strzelać. Trzeba kogoś do pomocy.

— Na dachu będę sam — rzekł Doktor uroczyście. — Niech o to nikogo głowa nie boli. Nie chcę narażać ludzi. Rozumiecie znaczenie tego stanowiska: przetnę stamtąd drogę każdej pogoni. Jesteście kryci ze wszystkich stron. Mam nadzieję, że od dziś nikt nie będzie wątpił o mojej dobrej woli — —zakończył cicho, czyniąc długie, usilne pauzy po każdym słowie.

— A zatem, koledzy, wszystko ustalone. Proszę siadać. Wtorek, godzina siódma na stanowiskach. Broń będzie przygotowana w oznaczonych miejscach dla każdego. Schodzić się po dwóch od szóstej trzydzieści. Sześć par co pięć minut. O tej porze jest pusto. Zapewniam po raz wtóry: akcja bez ryzyka. Szosa nie będzie patrolowana, a auto przyjedzie bez ochrony. Plan akcji ściśle uzgodniony z Centralą — Skłonił się w moją stronę, podczas gdy obecni patrzyli na siebie w niepewnym milczeniu.

— Panowie — —powstał znów z krzesła zwijając mapę — zebranie uważam za skończone. Ale — tu podniósł palec z zagadkowym uśmieszkiem — nie rozchodźcie się. Delegat Centrali przyrzekł uczynić nam zaszczyt wypicia strzemiennego. A więc — otworzył szafkę i wyjął z niej kilka butelek oraz kieliszki — wypada wznieść jego zdrowie.

Wypito toast wśród okrzyków i brzęku szkła. Rozejrzałem się wokół.

— Zdrowie Centrali — rzekł ktoś uprzejmie po mojej lewej ręce i zobaczyłem bladego człowieczka o wypukłym, wysoko łysiejącym czole, który uśmiechał się do mnie, obnażając białe dziąsła.

— Dziękuję — bąknąłem skromnie.

— Historyczna chwila—zauważył mój współbiesiadnik i zatoczył dłonią po zebranych. — Czołówka woli narodu.

— Tak jest, istotnie — skłoniłem się podejmując toast.

Bojownik wypił, postawił kieliszek na stole i chrząknął z namysłem, z czego należało wnosić, iż zamierza kontynuować rozmowę.

— Naród trzeba obudzić z bezczynu — zauważył, przysuwając się do mnie serdeczniej. — Pragnienia naszych wieszczów realizują się.

Chciałem mu odpowiedzieć, ale zanim to uczyniłem, zbliżył się do mnie Doktor z kieliszkiem i rozdzielił nas.

— Zdrowie narodu — wymamrotał mi w twarz, krzywiąc nieporadnie usta w uśmiechu. Znów musiałem podnieść kieliszek ruchem męczennika, przy czym zauważyłem, że wyłogi marynarki ma obsypane popiołem, a kosmyk na czole zmierzwił mu się. — Za twoim przewodem — bełkotał do mnie szyderczo — złączym się z narodem.

— Oto właśnie — przyklasnął bojownik z wypukłym czołem — oto właśnie. Mówiłem: pragnienia naszych wieszczów realizują się.

— —Tak jest, w rzeczy samej — przytwierdziłem poważnie, dbając o dokładną dykcję, gdyż słowa stawiały mi opór, a hałas naokoło wzrastał.

Tęgi brunet dotknął ramienia Doktora i odciągnął go na bok.—Słuchaj, Doktor — usłyszałem za mymi plecami—naród narodem, ale daj mi przed akcją trochę grosza, tak po cichu, prywatnie. Zwrócę.

Dalej bracie,
Oko w oko:
Z wrogiem walczy
Bystre OKO.

śpiewał śniady mówca z baczkami, który zdjął marynarkę i pił w białym swetrze.

— Dzielni chłopcy — szepnął mi w ucho bojownik z parapetu — niestety, pozbawieni opieki duchowej... — Westchnął i spojrzał na mnie znacząco.

— Pieniędzy nie ma — warknął za mną Doktor do bruneta — odczep się. Poza zebraniem żadnych spraw prywatnych. Zrozumiano.

— Przydałoby się — ciągnął mój towarzysz rozglądając się trwożnie—stworzyć przy komendach okręgowych stanowisko skarbnika niezależne od kontroli komendanta.

Kiwnąłem mu głową ze zrozumieniem, w takt piosenki, którą śpiewano chórem:

Jak Wisła płynie szeroko,
Bije wroga dzielne OKO.

— Chodziłoby o rozdzielenie kompetencji w celu uniknięcia nadużyć. Skarbnik okręgu miałby opiekę nad kasą — rozwijał swą myśl mój rozmówca z wypukłym czołem — zgodziłbym się przyjąć tę odpowiedzialność — —kończył, poufnie obnażając dziąsła. — Moje godło: Hubka.

— Świństwo! — ryknął nagle brunet i cisnął kieliszek na posadzkę. — Posyła się ludzi na śmierć bez grosza w kieszeni. Słuchaj, Doktor, żądam zaległych poborów, rozumiesz? I to natychmiast, bez czarów.

Zaległo głuche milczenie, piosenka urwała się w pół słowa. Patrzałem na Doktora.

JERZY ZAWIEYSKI

NOC HUBERTA

POWIEŚĆ

„CZYTELNIK", 1946

PAWEŁ HERTZ

DWIE PODRÓŻE

POEZJE

„CZYTELNIK", 1946

— Spokojnie, spokojnie — uśmiechał się szczerząc biała zęby i z ręką w kieszeni odsunął się pod drzwi. — Spokojnie — powtórzył tam raz jeszcze, wyjmując z kieszeni rękę. Błysnął w niej grzbiet rewolweru.

— Oto skutek mieszania kompetencji i braku opieki duchowej —— szepnął mi Hubka do ucha i uciekł pod okno.

— Panowie, nie wypada, dajcie spokój — łagodził zatarg biesiadnik w białym swetrze, łapiąc za rękę bruneta, który z kolei sięgnął do kieszeni i toczył wylupiastym okiem, jak byk za płachtą. Grupka towarzyszy odgrodziła go od Doktora, który stał blady pod drzwiami, z rewolwerem w ręku.

— Naród patrzy na was — dodał Hubka spod okna i spojrzał na mnie z ubolewaniem.

— Koledzy, pogódźcie się! — krzyknął bojownik z baczkami. — Niech żyje OKO, jak Wisła płynie szeroko! Precz z prywatą, tylko jedność nas ocali! — Popchnął bruneta w ramiona Doktora, wskoczył na krzesło i znów zaczął śpiewać: „Dalej, bracia, oko w oko!"

Zebrani otoczyli godzących się przeciwników i poklepywali ich po ramionach. Hubka zbliżył się do mnie i rzekł ze wzruszeniem:

— Minęły czasy rozbicia i kłótni. Jedność zwycięża. Gdyby jeszcze udało się stworzyć stanowisko skarbnika przy okręgowych komendach, rzecz byłaby całkiem w porządku.

Doktor objął bruneta w pół i odprowadził go pod ścianę tłumacząc mu coś żywo. Po tym podeszli do stołu i wypili po kieliszku, przy czym usłyszałem, jak Doktor szepnął:—Więc zrobione. Pierwszy wakans dla ciebie. Łapa! — I uścisnęli sobie ręce.

Jedenastu pozostałych mężczyzn ryczało z kieliszkami w ręku. Ich twarze były spocone, kilku zdjęło marynarki i piło w koszulach, czyjś krawat walał się po posadzce. Czas mijał w zaduchu i wrzaskach, czułem wypieki na policzkach, gardło dusił mi dym. Stałem wciąż za stołem, słuchając wywodów Hubki, coraz to zbliżał się ktoś do mnie, aby trącić się szkłem; podnosiłem wówczas kieliszek do ust, udając, że piję. Doktór przechodził z objęć w objęcia, widziałem jego czarną czaszkę w coraz innych kątach, brzęk tłuczonego szkła dzwonił mi w uszach.

Nie pamiętam, jak długo to trwało.— Gwar zagłuszał dźwięk mego zegara za ścianą. Po tym ściskałem czyjeś ręce i z kolei zacząłem przechodzić z ramion w ramiona. Musiało już być późno, gdy wyszli i kiedy zostałem z nim sam. Stół zalany był wódką, lampa dogasała, potłuczone szkło zasłało posadzkę; jedno krzesło leżało pod ścianą do góry nogami. Doktor siedział na kanapie z palcami wczepionymi we włosy, skurczony i nagle zmalały. Skierowałem się niepewnie ku drzwiom, aby stąd wyjść i sięgałem ręką klamki, gdy zatrzymał mnie jego głos.

— Wie pan, co nas łączy? — mruknął nie podnosząc głowy. — Mimo wszystko jednak, nie zaprzeczy pan. Obaj pójdziemy tam — wskazał ręką posadzkę. — Oto co nas łączy, komendancie. — Czarna mateczka śmierć.

Uciekłem bez słowa, zatrzasnąwszy drzwi.

Kazimierz Brandys

zagadnienia życia współczesnego
społeczne
gospodarcze
polityczne
nauka
literatura
sztuka
wszystko, co Cię interesuje, zawiera
WIEDZA I ŻYCIE
miesięcznik popularno-naukowy
doborowi autorzy
ciekawa i obfita treść
liczne ilustracje
od 1926 r. wysuwają
WIEDZĘ I ŻYCIE na czoło najpoważniejszych periodyków w Polsce
prenumerata: kwart. zł 75, roczna zł 300
administracja: Warszawa, ul. Róż 7 - 2
konto PKO nr. I-1490
żądajcie zeszytów okazowych!

KAZIMIERZ BUDZYK

PROGRAMY SZKOLNE

W odradzającej się Rzeczypospolitej sprawa szkolnictwa i jego reformy z miejsca nabrały pierwszorzędnego znaczenia. Nie bez racji uznano ją za fundament naszej przyszłości, co wyraziło się m.in. także w strukturze budżetu państwowego, w którym oświata zajmuje drugie z kolei miejsce. Zdawało się, że nareszcie przewyciężony zostanie fatalny rozdźwięk, który na terenie oświaty istniał u nas od wieków między rządem (zarówno zaborczym jak swoim własnym) a społeczeństwem. Sejm oświatowy w Łodzi, który odbywał się w podniosłej atmosferze jedności narodowej jeszcze bardziej usprawiedliwiał najlepsze w tej sprawie nadzieje. Niestety... Późniejsze rozdźwięki rozpostarły się ponurym cieniem także i na sprawę oświaty. Początkowe ożywienie ustąpiło bierności, której dotąd nie jest w stanie przełamać. Księga Zjazdu Oświatowego w Łodzi przeszła niezuważona. „Plany godzin i materiały programowe na rok szkolny 1945/46" wydane przez Ministerstwo Oświaty nie wzbudziły żadnego zainteresowania nawet wśród fachowców, ich ulepszona edycja przeznaczona na obecny rok szkolny z rezygnacją zdaje się oczekiwać tego samego losu.

Spisek milczenia dokoła rozstrzygających o praktyce, wewnętrznych, technicznych, szczegółowych spraw szkolnych musi być nareszcie przerwany. Reforma szkolna weszła w stadium realizacji i właśnie teraz powinna rozgorzeć dyskusja. „Materiały programowe" z zeszłego roku są dziś „programami przejściowymi" — na przyszły rok się ostatecznie ustalą. I czyż naprawdę nic was — pedagogowie i nauczyciele — nie obchodzi jak będzie wyglądał ich tekst ostateczny, który ma być właściwie przez was urzeczywistniany w praktyce?

Rzetelna i fachowa dyskusja jest na czasie tym bardziej, że obecna koncepcja programowa Ministerstwa Oświaty nie jest identyczna z zapowiedziami, które tak bardzo rozognietniały uczestników zeszłorocznego Zjazdu Oświatowego w Łodzi. Dokonała się tutaj wcale nie tak błaha ewolucja i zdanie sobie z niej sprawy konieczne jest dla każdego, komu są bliskie sprawy związane z reformą szkolną i jej realizacją. Prasa pedagogiczna milczy. Spróbujmy ją więc tymczasem wyręczyć w nadziei, że na przyszłość będziemy mogli przestrzegać należnego podziału kompetencji i zainteresowań.

Jak wiadomo, osiem lat nauczania, przewidziane w nowym ustroju dla szkolnictwa powszechnego, ze względów pedagogicznych (nie organizacyjnych) dzielono początkowo na dwa cykle: pięcioletni — propedeutyczny i trzyletni — systematyczny. W cyklu systematycznym miała się wyrazić dążność do pełnej racjonalizacji programów, w nastawieniu ich przede wszystkim na cele poznawcze. Była to reakcja na emocjonalno - epizodyczny charakter przedwojennych programów, wyraziła się w tym teza o wielkiej wartości także i wychowawczej poznania i małym stosunkowo znaczeniu kształtowania uczuciowości wychowanka. Konkretne prace nad programami poszczególnych przedmiotów przyniosły dość zasadnicze miejscami przesunięcia akcentów. Widać to przede wszystkim na programie języka polskiego, który ujęto zasadniczo w sposób tradycyjny. W stosunku do programu przedwojennego zmieniały się tylko cele wychowania — koncepcja pozostała ta sama. Zamiast dawniejszego „pogłębienia w duszach młodzieży uczuć religijnych, moralnych, estetycznych i narodowo - państwowych" mamy teraz „pogłębianie ogólnej kultury młodzieży przez rozwijanie uczuć społecznych i estetycznych". Ujęciu systematycznemu podlegała w obecnym programie języka polskiego tylko te partie, których celem jest kształcenie podstawowych sprawności kulturalnych: od mówienia i pisania do czytelnictwa i samokształcenia.

Rezygnacja z realizowania celów poznawczych w tematyce języka polskiego na systematycznym szczeblu szkoły podstawowej została wyrównana w pozostałych przedmiotach, więc z nauk ścisłych w matematyce, fizyce, geografii i biologii, z humanistyki — w historii. Wszędzie mamy tu do czynienia z próbą gruntownego rozpracowania dydaktycznego podstawowych elementów wiedzy, których opanowanie przez ucznia uznano za konieczne. W żadnym z tych przedmiotów materiał nauczania nie dał się wtłoczyć w trzechletnie ramy kursu systematycznego, to też przy geografii, biologii, fizyce i chemii nie zdołano uniknąć zwężenia propedeutyki do lat czterech zamiast dotychczasowych pięciu. Dla historii nawet i to okazało się niewystarczające. W zeszłorocznych „materiałach programowych" historia rozpoczyna się wprawdzie w klasie V, ale obecny program na rok 1946/47 przesuwa ten sam materiał do klasy IV. Jak z tego widać, pięcioletni cykl propedeutyczny został tu zredukowany do pierwszych trzech lat nauczania.

Z tym zmniejszeniem okresu przygotowawczego wiąża się oczywiście pewne trudności dydaktyczne, ale tu już muszą się wypowiedzieć specjaliści. Dla historii widoczne są zresztą od razu pewne możliwości przywrócenia cyklu propedeutycznego przynajmniej do rozmiarów czterech lat nauki. Program historii nie jest pomyślany w sposób jednolity i konsekwentny. W klasie IV rozpoczyna się od Słowian zachodnich i Mieszka I, żeby zamknąć ten cykl druga wojną światową w klasie VI. Siódma klasa poświęcona jest historii starożytnej, ósma — nauce o Polsce i świecie współczesnym. Historia starożytna jest tutaj oczywiście wstrętem, który bezpośrednio ani nie ułatwia rozumienia dziejów dajmy na to okresu międzywojennego przez zapoznanie uczniów z tym, co kiedyś robili Egipcjanie i Grecy, ani też nie przyczynia się do lepszego rozumienia współczesności. Wydaje mi się, że starożytność powinna być na tym poziomie potraktowana epizodycznie w ciągu całego kursu historii. Należałoby ją rozładować w zbliżeniach historycznych do poszczególnych zagadnień, a nie nauczać w sposób systematyczny po przerobieniu całego kursu. Jeśli bowiem chodzi o celowość dydaktyczną nauczania historii starożytnej, na tym poziomie ważna jest raczej genealogia naszych własnych dziejów, niż poznawacze opanowania starożytności. W ten sposób można by zlikwidować program klasy VI na korzyść przesunięcia systematycznego ujęcia historii z klasy IV do V.

Historia w szkole powszechnej jest przedmiotem zasadniczym i warto programowi od tej strony bliżej się przyjrzeć. Na pierwszy rzut oka uderza duża różnorodność materiału. W jednym ciągu chronologicznym prowadzi się tutaj cztery kręgi zagadnień: historię polityczną, sprawy ekonomiczno-społeczne i ustrojowe, zagadnienia kultury, wreszcie literaturę. W klasie IV, która zajmuje się dziejami Polski od czasów najdawniejszych po śluby lwowskie Jana Kazimierza, program przewiduje m.in. następujące zagadnienia z historii kultury i literatury: **Na Tyńcu i w Jędrzejowie:** Klasztory, ich działalność gospodarcza, kulturalna. Życie klasztorne. **U stóp Wawelu: O Zbigniewie Oleśnickim i Janie Długoszu.** Książę kościoła na przełomie średniowiecza i czasów nowych i ksiądz - uczony na tle Wawelu. Kronika Długosza. **Wśród żaków krakowskich:** Szkolnictwo, książka i pismo, profesor akademii i żak. Organizacja życia umysłowego i obyczaje uniwersyteckie. Życie codzienne żaków. **Peregrynacje szlacheckie.** Przenikanie do Polski wpływów z Zachodu. Podróże na zachód i południe. Na wszechnicy włoskiej. **Zwiedzamy oficynę drukarską:** Wynalazek druku. Oficyny drukarskie. Drukarnia Oporina w Genewie, Scharffenborgów w Krakowie. Andrzej Frycz Modrzewski. Nowa książka, pierwsze księgarnie. **O mieszczaninie Mikołaju Koperniku, dziecku Odrodzenia:** Odrodzenie. Ludzie Odrodzenia. Wyzwolona myśl ludzka. Kopernik we Fromborku. Jak toruński mieszczanin zatrzymał słońce a pchnął ziemię (1543 r. — pierwsze wydanie „De revolutionibus"...). **U szczytu potęgi i świetności:** Na dworze ostatnich Jagiellonów. Wpływy włoskie. Zygmunt August. Unia Lubelska 1569 r. Pisarze i poeci — Rey, Kochanowski. Język polski w literaturze.

Jak z tego widać, ahistorycznemu traktowaniu języka polskiego i literatury odpowiada włączenie zjawisk kulturalnych i literackich do programu historii. Moim zdaniem jest wcale zdrowy odruch w tego rodzaju ujęciu. Rzeczywistość historyczna nie rozwija się bowiem hermetycznie od siebie izolowanymi torami, lecz zazębia się wielostronnie i na się wzajem oddziaływa. Dotychczas przyzwyczailiśmy się do odrębnego traktowania poszczególnych szeregów zjawisk politycznych, gospodarczych, społecznych i kulturalnych. Jest to rezultat z jednej strony specjalizacji odpowiedniej gałęzi wiedzy, z drugiej zaś wynika z roli, jaką w dalszym rozwoju danego szeregu odgrywa dziedzictwo bliższej i dalszej przeszłości. Wydaje mi się, że dla osiągnięcia celów, jakie sobie stawia program szkoły podstawowej, wydzielanie szeregu kulturalnego, byłoby po prostu szkodliwe. Kształtowanie w uczniach świadomości przebiegu dotychczasowych procesów społecznych i kulturalnych powinno się odbywać nie pod znakiem wyodrębnienia poszczególnych szeregów, lecz właśnie poprzez podkreślenie ich związków. Później kiedyś dla celów ściśle poznawczych będzie je sobie nasz wychowanek oddzielał, choć i wtedy byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną, gdyby o ich wzajemnych związkach zapomniał. Natomiast o szkole, która nie ma przecie zamiaru posuwać wiedzy naprzód, lecz tylko wychowywać młodzież — wyodrębnianie takie doprowadziłoby do wyrobienia fałszywego przeświadczenia o hermetycznej samoistności szeregu kulturalnego, społecznego, gospodarczego i politycznego oraz zamykałoby przed uczniem drogę do całościowego ogarnięcia bogatej rzeczywistości. Jako wynik dotychczasowego ujęcia dydaktycznego tych spraw powstawały w szkole odizolowane szczelnie tory historyczne, których nie tylko istotne związki, ale po prostu zbieżność chronologiczna była dla umysłu ucznia czymś niedostrzegalnym, a nawet pozostającym poza wszelką jakąś intuicją poznawczo - historyczną. Sporadycznie przy dalszej nauce, nieraz dopiero uniwersyteckiej, uczeń ze zdumieniem dowiadywał się, że Kadłubek to czasy Kazimierza Sprawiedliwego i Leszka Białego, Janko z Czarnkowa — to Kazimierz Wielki, Długosz, — to Kazimierz Jagiellończyk, Biernat z Lublina — to Zygmunt Stary, Rej — Zygmunt August itd. itd. Ten brak intuicyjnej synchronizacji historii i literatury polegał na tym, że o wiele wcześniej potrafiliśmy stworzyć wielkie państwo niż wielką literaturę. I stąd początki naszego piśmiennictwa uczeń przez analogię zbyt pochopnie rzutował na wczesny okres rozwoju historycznego.

Obecny program unika tych niebezpieczeństw, co godne jest podkreślenia niezależnie od tego, czy jest to wynikiem samego tylko maksymalizmu autorów programu historii czy też rezultatem uzgodnienia programowego z językiem polskim. Ta ostatnia supozycja wydaje się raczej wątpliwa, gdyż obecny program dość niedbale koreluje ze sobą dwa te najważniejsze przedmioty humanistyczne. W klasie V np. historia sięga do czasów Kongresu Wiedeńskiego, zaś tematyka języka polskiego zaleca obrazki związane z naszą przeszłością w czasie od Kościuszki do okresu lat międzywojennych. Podobnie w klasie VI mowa jest w tematyce języka polskiego o mitach greckich i pierwiastkach demokracji ateńskiej, podczas gdy historię starożytną mamy dopiero w rok później. Na odmianę język polski będzie ją wtedy korelował z dziejami odkryć i wynalazków u progu ery nowożytnej czy w ogóle z okresem staropolskim. Klasa VIII to samo: nauce o Polsce i świecie współczesnym odpowiada w tematyce języka polskiego m.in. okres od schyłku XVIII wieku po wybuch drugiej wojny światowej.

Trudno na tym miejscu wdawać się w szczegóły. Opublikowane niedawno „programy przejściowe" domagają się gruntownej analizy i rzetelnej, twórczej krytyki. Przyszła, ostateczna redakcja programów powinna powstać wspólnym wysiłkiem Ministerstwa Oświaty i najlepszych, najbardziej doświadczonych przedstawicieli szkolnictwa. Tylko w ten sposób może powstać tekst, który z pełną odpowiedzialnością zostanie wprowadzony w życie i doczeka się szczęśliwej realizacji.

Kazimierz Budzyk.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

sprzedają — wszystkie — księgarnie

Gąsiorowska N.	KAPITALIZM W ROZWOJU DZIEJOWYM
Hertz P.	DWIE PODRÓŻE
Hirszfeld L.	HISTORIA JEDNEGO ŻYCIA (tom I-szy serii „Żywoty nieurojone")
Iwaszkiewicz J.	WIERSZE WYBRANE
Łukasiewicz St.	NAUCZYCIELE
Nałkowska Z.	MEDALIONY
Rymkiewicz Wł.	RAFAŁ Z LASU
Słonimski A.	WYBÓR POEZJI
Strumph-Wojtkiewicz St.	GWIAZDA WŁ. SIKORSKIEGO
Tołstoj A.	DROGA PRZEZ MĘKĘ — I i II tom
Tołstoj L.	DZIECIŃSTWO
Tworkowski S.	ARCHITEKTURA WSI
Żabińska A.	DZOLLY i S-KA
Żeromski S.	NOWELE, OPOWIADANIA, FRAGMENTY

SPÓŁDZIELNIA CZYTELNIK WYDAWNICZA

JULIAN GAŁAJ

Mystkowice, wioska mała...*)

Kiedy bocheniacy pobili się z mystkowiakami na Konusowym weselu, pogadywali niektórzy, że zły to znak dla Bolcerka. I trochę sprawdzili. Bolcerek z kobietą przenieśli się po weselu do drugiej chałupki, co stała za drogą. Nieduża to była chałupka, przerobiona z chlewka, czy z jakiejś szopy. Ale przecież Helina nie będzie tam szła. Jak to? Gospodyni i pójdzie do chlewa, a ten, kto siedzi na „lemencie" zajmie dużą chałupę. Nie ma tak dobrze. Gospodyni musi znać swoją wartość, inaczej nie utrzyma powagi przed ludźmi. Pozbadną i będą się za oczy, albo i w oczy śmiać. Zresztą będą, czy nie będą. Helina wypędziła ojców do małej chałupki. Bolcerek poszedł. Nie córka od niego zależała, tylko on od córki.

Po tylu latach mordęgi i turbacji musiał Bolcerek marznąć, jak za jakie grzechy. Nie zabił nikogo, nie okradł, do kościoła chodził i musiał marznąć. Bolcerkowa tak samo. Ulepili sobie wprawdzie kuchenkę, ale kiedy przyszło w niej palić, to tak dymiło, że w piekle chyba gorzej nie dymią. Nie widziałeś nic o dwa kroki. Skamlał się Bolcerek córki i zięcia, żeby mu pomogli, ale jakoś nie znalazła jego prośba oddźwięku. Jeszcze Helina naurągała.

— Może my tam pójdziewa, a wos tutej puściwa? — natrząsała się nad starym. I Bolcerek ustąpił. Tym bardziej, że zięć porwał się z ławy i pięścią mu pod nosem potrząsnął. Konuś, jak tylko co — zaraz do bicia, a co najmniej do kłótni.

Przesiedział Bolcerek w swojej chałupie tydzień, drugi... Kobieta mu się przeziębiła i wciąż kwękała... On sam nieraz też nie mógł zwlec się z łóżka. Leżeli obydwoje całe dnie pod pierzyną, w zimnie i brudach. Brudy to jeszcze mniejsza. Przyzwyczajeni byli do nich. Gorzej z zimnem i głodem. Ostatni raz powlókł się Bolcerek na wieś wtedy, kiedy to u Pawła Łękisa zbierali na Lubelski Rząd i potem, kiedy chciał iść po zapomogę do Łowicza. Nareszcie przestał wychodzić. Nie mógł. Może dawne baty, co dostawał, tak go zmogły, może życie ciężkie i męczące, może Niemcy nadwyrężyli mu zdrowie, kiedy go zbili pytami?... A może wszystko razem złożyło się na to, że Bolcerek zaniemógł? Może też i głód z zimnem dobiły reszty...

Któregoś dnia, gdy spadł duży śnieg, wstał Bolcerek, chociaż z trudem, naciągnął na siebie ubranie i poszedł do córki próbować szczęścia. Kobieta mu jęczała i ciągle zrzucała z siebie pierzynę. Z gorączki... Rozpalona była, jakby się w niej ogień buzował. Ostatkiem siły powlókł się Bolcerek. Ostatkiem siły i rozpaczy. Krótka droga do córki gorzej go zmęczyła, jak dawniej rżnięcie sieczki na plebanii. Ledwie otworzył drzwi trzęsącymi rękami.

— Czego chcecie? — warknął zięć, kiedy go zobaczył.

— Moja słabuje — wyjąkał Bolcerek. — Możebyśta pomogli?

— Nic im nie będzie — rzekła Helina. — Na starość muszą swoje odleżeć.

— Kiej rozpolóno, jak w piecu.

— E, tam. Zawrococie głowe. Ciepło im pod pierzyną, to sie i rozgrzeli...

— Pomóżta co... — miamlał dalej Bolcerek.

— Co wam pomożewa? Po dochtora nie pójdziewa, bo ni ma piniędzy. Zreśtą pochorują, to i wyzdrowieją.

— Zimno u mnie.

— A u nos to ciepło? Pewnie, że jak jest zima, to musi być zimno.

Widział Bolcerek, że nic nie uprosi. Taki był słaby i omdlały, że nawet rozzłościć się nie mógł. Zawrócił i pokuśtykał do siebie. Co on tam wtedy przeżywał, to szkoda opisywać. Język ludzki tego nie wypowie i słów ludzkich nie ma, żeby to wyrazić. Czuł tylko jedno — że to już śmierć. Nic innego, tylko śmierć. Koniec z życiem, koniec z tym wszystkim, na co się patrzyło tyle lat i na co jeszcze się patrzy Przeżył rozmaite rzeczy, widział złe i dobre, lecz końca doczekał marnego. Jakby go własne dziecko z domu wypędziło. Widział nieraz, jak „lemencie" dzieci obchodziły się z rodzicami, ale człowiek nigdy nie wyrozumie cudzego bólu i nieszczęścia. Każdy póki młody — myśli, że jest wieczny, dopiero na starość opamiętowuje się. Ale za późno, za późno. On sam do swoich ojców odnosił się bardzo źle. Kiedy się ożenił, to mu matka i ojciec wciąż przeszkadzali. Nie to, żeby mu wchodzili w drogę, albo co. Tylko sam ich widok złościł człowieka. I im więcej ojcowie starali się nie wchodzić w drogę, tym więcej złościli przez to. Nie wiadomo skąd ta złość przychodziła skąd się brała?... Ba, skąd? Z przemęczenia, z przepracowania, z biedy, niedostatku... Kiedy wyszedłeś kosić żyto i zobaczyłeś rzadziutkie i mało kłośne, to ci się tak robiło, jakby ci kto ręce, albo nogi obciął. Kiedy przyszedłeś oglądać kartofle i ujrzałeś je wygniłe i wymarnowane, to jakbyś się nad grobem znalazł. Kiedy wieczorem usiadłeś do miski aby, aby ruszając rękami, to złościło cię wszystko... I niechby wtedy mruknął słowo ojciec, albo matka. Skoczyłoby się do nich, niczym pies do dziada. I gryzłoby się i kłęło... Z tej biedy, przepracowania, niedostatku...

— Takie jest chłopskie prawo — mruczał Bolcerek ostatkiem świadomości — tak beło, tak jest i tak będzie. Była dawniej Polska, tak beło, przyszedł potem ruski — tak beło, jest tero Polska — tak będzie. Takie przeznaczenie chłopskie...

Wlazł do chałupy i ukląkł przed św. obrazem. Trzeba skończyć. Skamlać o księdza nie pójdzie. Pomodli się, będzie żałował za grzechy i zrobi koniec ze sobą. I z kobietą tak samo. Nacierpiała się i ona nieboga, nacierpiała... On też ją nieraz rypnął w głowę, albo sprał, że uciekała w pole jak głupia. Ale to znowu jego prawo było. Kobietę należy bić. Inaczej nie dasz jej rady.

Długo się Bolcerek modlił. Kobieta leżała w łóżku, piła wodę z kubła i co chwila patrzyła na chłopa. Patrzyła nieprzytomnie tak jakoś, jakby nie na chłopa, tylko poza niego. Gdzieś w nieznane... Kiedy Bolcerek skończył modlitwę, zwrócił się do kobiety:

— Pomódl się tero ty —

Nie uważał, czy kobieta go słuchała, czy nie, bo wyszedł na dwór. Mróz doskwierał, a on — zdawało się — nic nie czuł. Popatrzył najpierw na swoją gospodarkę. Chałupa stała „galanta" tak samo stodoła. Nie spaliły się w czasie wojny, bo Niemcy dopiero od Maćka Lonka bombardowali wieś. Potem popatrzył Bolcerek na Michała Muchara zabudowę. Dużo miał z Mucharem przeżyć... Dużo się kłócili, dużo robili na złość... Czasem łapali się nawet do bicia i krwawili trochę. Przeważnie Muchar. Muchar skakał zaraz do gardła, ale i Bolcerek nie był łamaga. Chwytali się rękami i tarzali po ziemi, niczym rozżarte psy. Aż ich kobiety musiały rozciągać. Muchar jeszcze gospodaruje i trzyma wszystko twardą ręką, a on — Bolcerek kończy już z życiem. I nie sam z siebie, tylko z musu. Kto by sobie życie odbierał, kiedyby nie musiał?

Za Mucharem siedzą Lonki, dalej Łyszczok, Pajdy i inni. Siedzieli i siedzą. Dawniej inaczej wieś stała. Każdy miał po 10 i po więcej kawałków ziemi. On sam — Bolcerek nie mieszkał na końcu jak teraz, tylko tam, gdzie Rocho Łękis. Prawie na drugim końcu wsi. Muchary siedziały tam, gdzie dzisiaj Blaczek, Łękisy, gdzie Rybałki... Każdy, każdy inaczej siedział. Potem kawałki połączone w jedno i wieś rozbudowała się tak, jak teraz stoi. W długą, prostą linię. Chałupy też inne stawiają. Nie tylko Paweł Łękis, który ma murowaną, ale każdy, kto stawia — inaczej stawia jak dawniej. Podłogi dają drewniane, okna wielkie, chałupy widne, wysokie. Dawniej mieszkali razem ludzie i inwentarz. A teraz co? Jej kochany! Kiedy to się pozmieniało? Ludzie mają coraz większe wymagania. Dawniej cieszył się każdy z czarnego chleba, a teraz biały niektórzy jedzą z masłem. Co prawda wojna znowu przyniosła biedę i głód, ale wojna przejdzie to i bieda przejdzie. Paweł Łękis zawiózł Różkę do Warszawy i mówią, że będzie wszystkie dzieci kształcił. Do czego ono dojdzie? A tu trzeba umierać — trzeba!

Przerwały się myśli Bolcerka, bo zimno tak zaczęło go trząść, że kłapał dziąsłami o dziąsła. Wrócił do chałupy. Kobieta spojrzała na niego przytomniejszym wzrokiem...

— Co dzisiej mowa?

— Co ci z tego kobieto przyńdzie, chociaż ci powiem, co dzisiej? Sobota dzisiej.

— Zimno.

— Zimno.

Bolcerek znowu ukląkł do pacierza. To jedno pozostało mu w głowie, że trzeba zdawać sprawę Najwyższemu ze swoich grzechów. Trzeba się modlić, trzeba błagać Boga. Przecież księdza tężby kazał przywieźć, ale czy kto pojedzie po niego? Zresztą ksiądz dałby mu życie odbierać? Skrzyczałby tylko i zwymyślał. Jak wtedy, kiedy chodziło się rżnąć sieczkę z „Jadwigą". Rżnąłeś, rżnąłeś, a kiedy się co dobrodziejowi nie podobało, to kopnął, albo rypnął w łeb. Był taki ksiądz... Jachemski... Kiedy tam, przed Byłkiem i Niemytym? Ile to lat temu! Ile to ludzi przez ten czas wymarło! Ile księży się zmieniło! A zdaje się, jakby to było wczoraj... Wszystko się pamięta, a najbardziej siedziało w pamięci rżnięcie sieczki u proboszcza. Przychodzi zawiadomienie i ojciec każe brać „Jadwigę" i iść do Chruślina. Słuchał... Musiał... Inaczej lanie, że skóra pękała. Szosy wtedy nie było. Tam gdzie Działy — leżał jeden wielki, bagnisty obszar. Kiedy szedłeś Działami, to trawa się uginała, jak pierzyna. Szło się na plebanię, a w sercu strach, jakby kto lodowe igiełki wrażał w ciało. Nie można tego strachu w żaden sposób zdusić. Z jednej strony człowiek lęka się bicia, z drugiej „klątw". Klątwy jeszcze gorsze od bicia. Dobrodziej wysyłał przez nię ludzi do piekła. A piekło! No — lepiej o nim nie myśleć. Kiedy proboszcz pokrwawił człowieka — przychodziło się do domu, a tu poprawiał po proboszczu — ojciec. Marne życie, nędzne — ale tak chłopu pisane.

— Nie wymądrzyta nic, nie — mamrotał do siebie Bolcerek, kiedy mu się naprzykrzyło modlić. Myślał o Łękisie i ludowcach. Nie wymądrzyta. Chłopskie prawo było robić i słuchać i takie będzie do końca świata. Tak było ustanowione przy stworzeniu ziemi. Za grzechy Jadama i Ewy. Ród ludzki jest przeklęty, a chłopi najgorzej. Nie wymądrzycie nic — nie.

W tę noc chodził po stróży Cieślo Wosio i Wincenty Lenek. Zimowy wiatr dął w strzechy i drzewa, że wielki szum się z tego robił. Jakby syk Złego, jakby bary jakieś, jakby wesele czarownic...

— Musioł sie ktoś powiesić — rzekł Wosio. — Stanęli obydwaj z Wincentym pod ścianą i czekali dnia, a wichura z mrozem mordowały ich bez litości. Wiatr w suchych liściach tak czasem zapiszczał, że Wincenty targł cały i żegnał się ukradkiem.

— Może się i powiesił — przywtórzył Wincenty i jeszcze większy strach go ogarnął.

— Jak tam nasze chłopoki poszły tero na front, to użyją, że nie daj Boże — ciągnął Wosio.

— Gaparek jest ziandarym w Skierniewicach.

— Gaparek wykpis, to sie i wywineł od frontu.

Nie szła chłopakom rozmowa. Drzemali skuleni, tylko Wincenty nie przestawał żegnać się od czasu do czasu. W pewnej chwili zdawało mu się, że usłyszał śmiech Złego. Ma się rozumieć, że to tylko wiatr mocniej gwizdnął, ale w nocy inaczej wszystko wyglądało. Szarpnął Wosia.

— Te, Wosiu. Śpisz?

— Cego? Nie śpie.

— Słyszysz, jak sie coś śmieje?

— Dej my spokój. Nie wim, co sie może śmiać?

— A może Złe?

Zląkł się trochę i Wosio. A może i Złe? Kto to moze wiedzieć?

— Chodźwa sie trocha przeńdziewa.

— Chodźwa.

Wyszli spod ściany i ruszyli w stronę Bochenia. Akurat pod sam wiatr. Kalkulowali sobie, że dojdą do Bolcerka, potem wrócą i pójdą spać. Przynajmniej na sumieniu będą spokojni. Zrobią, co do nich należy.

Nagle ukazał się w stronie Bochenia ogień. Od razu — jakby kto kupę prochu podpalił. Może się tak obydwum tylko zdawało, bo przecież, kiedy szli pod wiatr, to szli pochyleni. Początkowo mogli ognia wcale nie widzieć, a ujrzeli dopiero, kiedy na dobre wybuchnął. Pierwszy zobaczył Wincenty.

— Wojtek. Poli sie...

— Gdzie?

— Abo w Mystkowicach, abo w Bocheniu...

— Budzić wszystkich.

Wincenty stanął bezradny, a Wosio dobiegł do pierwszej chałupy i uderzył w okno:

— Poli sie, wstawejta. Poli sie...

Zanim znaleźli się przy ogniu, pół wsi się obudziło. Nikt nie zważał na wiatr i zimno. Niedługo zebrał się koło Bolcerkowej chałupy galanty tłum. Przyjechali strażacy z Bochenia. Każdy z trochę żywszych i energiczniejszych brał się do obrony Mucharowych budynków. Mocny wiatr pchał ogień w tę właśnie stronę. Szczęściem zamoczone poszycie nie łatwo ulegało ogniowi. Kobiety biadały jedna przez drugą.

— Adzita, adzita! — zawodziła Pajdzina. — Nie wiadomo kiedy, jak co i już.

— Ajści! Nikt nie wie, co komu pisane. Pamiętocie, jak waszego Leona w boru przygniotło?

— A gdzie Bolcerki? Loboga. Gdzie Bolcerki?

Tłum drgnął, jakby miał zamiar się rzucić na pomoc Bolcerkom. Ale ogień pożarł już większą część chałupy.

— O mój Boże, mój Boże! — wrzeszczała Bolcerkowa Helina. — Ratujta ich, ludzie ratujta! Ady się spolą oba! Na śmierć się spolą! O mój Boże, mój Boże!

Mucharową chałupę obronili bocheńscy strażacy. Bolcerkowa spaliła się do cna. Malutka, cała z drzewa i słomy — była nie do uratowania. Dopiero, kiedy resztki dogorywały, wydobyto ze zgliszcza kości ludzkie. Kości tylko, bo ciało się widać zesmażyło. Chociaż trochę i ciała zostało.

Julian Gałaj

*) Fragment trzytomowej powieści „Mystkowice, wioska mała", wyd. nakł. „Książki".

LEON GOMOLICKI

KWARANTANNA BOŁDINOWSKA

Puszkin — autoportret. 1828.

W kwietniu roku 1830 w życiu osobistym Puszkina nastąpił przełom. Oświadczył się powtórnie znanej moskiewskiej piękności, Natalii Gonczarow i został przyjęty. W związku z mającym nastąpić małżeństwem ojciec poety przydzielił mu 200 „dusz" pańszczyźnianych wraz ze wsią Kisteniowką, leżącą nieopodal drugiego niżniegorodskiego majątku Puszkinych, Bołdina. Przed bezdomnym, prześladowanym przez swój nieokiełznany temperament i przez żandarmów carskich, poetą stanęła kusząca wizja „tajemnego ustronia pracy i czystych pieszczot". W przeciwieństwie do politycznego zamętu lat zesłania, do niedbałego kawalerskiego żywota — unosiły się przed nim pokusy osiadłego bytowania liberalnego ziemianina, ogniska rodzinnego, niezależności materialnej. W celu przejęcia na własność Kisteniowki Puszkin wyjechał do Bołdina, sądząc, że zdoła szybko uporać się z nieuniknionymi formalnościami i powrócić znów do narzeczonej. W duszy jego jednak panował niepokój. W przeszłości leżały lata roztrwonione w światowym życiu i hulankach. Prowadząc swoją listę Don Juana, gdzie Natalia Gonczarow miała zająć 113 miejsce, — Puszkin cierpiał z powodu swojej brzydoty potomka „negra". Przyszła młoda i piękna żona, od której Puszkin był prawie dwa razy starszy (miał w 1830 trzydzieści jeden rok, ona zaś osiemnaście) przynieść miała nowe męki zazdrości.

„Smutek, tęsknota, tęsknota — pisał Puszkin do przyjaciela Pletniewa przed wyjazdem na wieś. — Życie trzydziestoletniego narzeczonego jest gorsze od trzydziestu lat gracza. Termin mego ślubu odracza się z dnia na dzień. A ja tymczasem chłodnę, myślę o kłopotach człowieka żonatego, o uroku kawalerskiego życia... Słowem, jeżeli nie jestem nieszczęśliwy, to w każdym razie nie jestem szczęśliwy. Zbliża się jesień. Jest to moja ulubiona pora roku i zdrowie moje zazwyczaj wzmacnia się wtedy — nastaje pora mojej pracy literackiej — a ja muszę kłopotać się o posag, o ślub, który Bóg wie kiedy nastąpi. Wszystko to jest nie bardzo wesołe. Jadę na wieś..." Na wsi gdzie spędził przeszło dwa miesiące, które miały się stać najbardziej płodnym okresem jego twórczości, Puszkin nie zamierzał pisać nic poza epigramatami.

Jadąc do Niżniego pocztowymi końmi, otulony w kraciasty płaszcz, Puszkin myślał już o drodze powrotnej. Podróż, przedsięwzięta w skłóceniu ducha, komplikowała się w dodatku wskutek złych przepowiedni.

„Pod fatalną wróżbą dopełnił się hymen tej znakomitej, lecz niedobranej pary" — pisał Berlicz Sas (Strutyński) o małżeństwie Puszkina, — „India wionęła na Rosję zarazą..." Nie dojeżdżając do Niżniego, poeta spotkał słynny Makarjewski jarmark, rozpędzony przez cholerę. „Nieszczęsny jarmark! — czytamy w notatkach Puszkina.— Uciekał jak schwytana złodziejka, rozrzuciwszy połowę swoich towarów, nie zdążywszy obliczyć swych zysków".

Dla Puszkina nie było niespodzianką, że epidemia cholery zbliża się do Niżniego. Jeszcze przed pięciu laty student z Dorpatu, który grał z nim w Michajłowskim (w okresie powstania „Godunowa") w szachy, straszył przyjściem zarazy. Opowiadano, że cholera dotknęła w Indiach nie tylko ludzi i zwierzęta, lecz również rośliny, że „żółtym pasem ściele się z prądem rzek". Przed samym wyjazdem z Moskwy do Bołdina, Wiaziemski pokazał poecie list, który dopiero co otrzymał: pisano, że cholera już się przerzuciła nad brzegi Wołgi, dotarła do gubernii Saratowskiej i zbliża się do Niżniego. Nie bacząc na żadne argumenty, Puszkin nie tylko nie odłożył wyjazdu, lecz śpiesznie udał się na wieś, w nadziei, że uda mu się wyprzedzić zarazę. Spieszyło mu się do ślubu. „Wyjechałem z całkowitą obojętnością — wspominał potem — z obojętnością, którą zawdzięczam pobytowi swemu wśród Azjatów. Oni nie boją się dżumy, a według mnie stosunek cholery do dżumy był taki, jak elegii do dytyrambu..."

Elegia jednakże niebawem urosła do tragicznych rozmiarów. Ledwo Puszkin dotarł do Bołdina, dowiedział się, że wsi okoliczne otoczone są kordonem kwarantanny. Surowe zarządzenia kwarantanny wywołały szemrania i bunty. Lud utrzymywał, że dziedzice zatruwają wodę. Chłopi grabili szpitale i podpalali dwory. Puszkin, siedząc w Bołdinie, zajął się swymi sprawami, przeglądał na nowo Coleridge'a. 2 października nadeszła wiadomość, że w Moskwie wybuchła cholera. Z myślą o niebezpieczeństwie, grożącym narzeczonej, Puszkin natychmiast wyruszył do stolicy. Na 20-ej wiorście został zatrzymany przez straż. Kilku chłopów, uzbrojonych w pałki

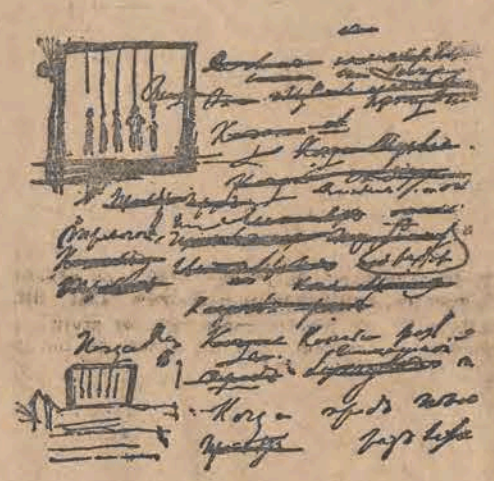

Stracenie dekabrystów.

pilnowało przeprawy przez rzekę. Srebrne ruble otworzyły drogę, za pierwszym jednak zakrętem zagrodziły ją szlabany kwarantanny. Tutaj nie pomogły ani ruble, ani groźby. Ówczesne punkty kwarantanny przedstawiały się ubogo i strasznie. Kwarantanna wydała się gorsza od samej zarazy. Przed rokiem Puszkin sam ją sobie wyprorokował w wierszu:

Albo w głuchym lesie nożem
Zbój mi zada śmierć morderczą,
Albo z nudy zdechnę może
W kwarantannie jakiejś stercząc.

(Przekład Juliana Tuwima).

Pozostawało tylko poddać się i wrócić do Bołdina.

W głębi duszy Puszkin nie tak znów bardzo pomstował na los. Rządziły nim wyższe okoliczności, skazując go na samotność i niepokój. On zaś sam doznawał potrzeby skupienia przed decydującym krokiem życiowym. Szukając ucieczki w pracy, Puszkin wziął się do pisania. Nigdy jeszcze nie pracował tak bardzo owocnie. W ciągu niespełna trzech miesięcy w Bołdinie powstały dwa ostatnie rozdziały „Oniegina", cztery „małe tragedie" (napisane między 23 października a 4 listopada), „Domek w Kołomnie", pięć opowieści Biełkina, „Historia wsi Goriuchina", około trzydziestu drobnych utworów lirycznych.

W okresie bołdinowskim Puszkin zżółkł i zmizerniał. Świat wydawał mu się ciasny, bez wyjścia, jak nigdy dotychczas. Rosja Mikołaja, która była dla niego macochą, niszcząc jego liberalnych przyjaciół, oddawna już stała się „ohydnym więzieniem". „Stu podchorążych" — dekabrystów nie potrafiło wstrząsnąć rosyjskim życiem. Mikołaj, jak sam się chwalił, „dawał nauczkę Rosji i Europie". Ażeby znieść zaduch państwa zamienionego na koszary „trzeba było, — według słów Hercena, — przystosować się do nierozwikłanych wątpliwości, do najbardziej gorzkich prawd, do własnej niemocy, do zniewag codziennych... trzeba było zdobyć nawyk ukrywania wszystkiego, co wzrusza i nie utracić tego, co kryło się w tajnikach duszy, — a przytem trzeba było pozwolić, by w oniemiałym gniewie dojrzało to wszystko, co leżało na sercu... trzeba było posiadać dumę bez granic, aby wysoko trzymać głowę, mając łańcuchy na rękach i nogach".

Puszkin zdawał sobie sprawę z tego, jak ubogie jest otaczające go życie, nienawidził carskich porządków i coraz częściej zwracał się myślą za granicę Rosji. Tam pociągało go wszystko. Obserwował zagraniczną sztukę, politykę. Marzenie o wyrwaniu się w świat pozostało nieurzeczywistnione. W roku 1829 prosił o zezwolenie wyjazdu za granicę („choćby do Chin") i otrzymał odpowiedź odmowną. Mimo to raz jeden przypadł poecie los, gdy przekroczył granice Rosji. Stało się to po pierwszych oświadczynach, nieprzyjętych przez Natalię Gonczarow. Puszkin wyjechał nagle na Kaukaz. Gnała go tęsknota i samotność. Samowolny wyjazd był nowym „wybrykiem" nadzorowanego poety. Miał nadzieję, że w czynnej armii, walczącej w Turcji, spotka swoich zesłanych towarzyszy dekabrystów. Gnał go również duch romantyzmu, poszukujący nadzwyczajności. Mając w swojej pamięci, nie licząc stłumienia powstania dekabrystów i podbicia Kaukazu, około dziesięciu wojen, Puszkin jeszcze ani razu nie był świadkiem bitwy. Zbliżając się do celu, dojechał do pogranicznej rzeczułki Arpaczaju. „Pogalopowałem ku rzece z jakimś uczuciem niewytłumaczalnym — czytamy w „Podróży do Arzrumu" — nigdy jeszcze nie widziałem obcej ziemi. Granica miała dla mnie coś tajemniczego; od lat dziecięcych podróże były moim ulubionym marzeniem. Długo prowadziłem potem żywot koczowniczy, tułając się to po południu, to po północy i nigdy jeszcze nie wyrwałem się po za obręby niezmierzonej Rosji. Z radością wjechałem do wymarzonej rzeki i dobry koń wyniósł mnie na brzeg turecki. Ale brzeg ten był już zawojowany. Byłem jednak wciąż jeszcze w Rosji".

W niezmiernym więzieniu Rosji mikołajewskiej, w kręgu pasiastych szlabanów kwarantanny, odcięty podwójną ścianą od świata, Puszkin tworzył swoje „małe tragedie", odzwierciadlając w nich obce, nigdy niewidziane światy. Zagubiony w rosyjskiej głuszy — Puszkin żył pełnym życiem ówczesnego świata...

A w świecie — teatralne boje na przedstawieniach „Hernaniego" zamieniły się właśnie w boje uliczne. W Paryżu wybuchła rewolucja, ów „wielki tydzień", który rosyjski dyplomata i poeta Tiutczew, obserwując z Monachium, uznał za początek „ery rewolucyjnej" w Europie i który dał liryce rosyjskiej „Cycerona", a Francji burżuazyjnego króla Ludwika Filipa. Przez otwarte na oścież okna Paryża powiał wiatr, przeszedł zamiecią po drogach Europy, dobiegł do granic Rosji i przewalił się

Puszkin — autoportret. 1829.

przez nie. W dniach, kiedy Puszkin pisał „Gościa Kamiennego", był wzięty arsenał warszawski, na Ukrainie Karmeluk, który po raz siódmy uciekł z katorgi, puszczał z dymem pańskie dwory. W Sewastopolu dopiero co odbitym z rąk buntowników, bez przerwy szpicruty rozdzierały plecy — car krwawo rozprawiał się z opornymi, a dookoła Bołdina szerzyły się bunty chłopskie, wywołane cholerą. W tym samym czasie na Zachodzie karlista baron d'Anthès uciekając przed rewolucją opuścił Francję i zbliżał się do granic Rosji, aby po siedmiu latach spełnić rolę zabójcy poety, wyznaczoną mu przez nienawiść i zazdrość. W Europie noszono wtedy jeszcze długie surduty, wysokie cylindry z wygiętym rondem i około trzydziestu rodzajów krawatów, w tej liczbie ulubiony przez Puszkina à la Byron. Świat jeszcze nie znał gumy, paradowano w smolistych makintoszach. W Anglii zjawiły się pierwsze „maszyny parowe na kołach, które ciągnęły za sobą po szynach otwarte dyliżanse i karety", a politycy i kupcy roztrząsali zagadnienie ich eksploatacji. Znikł na morzach romantyczny żagiel. Balzac, jak Puszkin, ukończył lat trzydzieści, a Wiktor Hugo, o dwa lata młodszy, ogłosił właśnie swój hymn poświęcony rewolucji burżuazyjnej. Była to oda „Do młodej Francji", drukowana w liberalnym piśmie „Le Glob", gdzie po upływie siedmiu lat Mickiewicz umieścił nekrolog Puszkina. Wstęp do „Cromwella" wstrząsnął sztuką. Romantyzm przeżywał swą pierwszą miłość do Szekspira. W pismach ukazywały się wspomnienia i wzmianki o zmarłym przed pięciu laty wiedeńskim kompozytorze, przyjacielu Beaumarchais i Mozarta, — Salierim. Na empirowym stoliku leżało zeszłoroczne wydanie paryskie czterech angielskich dramatopisarzy: Bowlesa, Milmana, Wilsona i Cornwalla, które wraz z Coleridgem Puszkin zabrał ze sobą w drogę. Książka była otwarta na sztuce Wilsona „Zadżumione miasto". Napisana w 1816 roku, nagle ożyła w obliczu nowej indyjskiej zarazy, która oblegała dwór w Bołdinie.

Leon Gomolicki.

Już ukazał się

106 nr TRYBUNY WOLNOŚCI

Józef Kowalczyk	— Doniosła umowa
Aleksander Litwin	— Linia podziału
Józef Dubiel	— Fakty nieodwracalne
Włodzimierz Sokorski	— Ruch zawodowy w obliczu wyborów
Bronisław Minc	— O właściwe drogi przedsiębiorczości prywatnej
Stefan Tarnowski	— Wersal nie powtórzy się
Seweryn Żurawicki	— Nowe polskie prawodawstwo w służbie społecznego postępu
Maria Turlejska	— Polska Partia Robotnicza w r. 1942 — Fakty i dokumenty
Z życia Partii	— Wybory, a praca wśród kobiet O pracy agitacyjnej w obwodzie.
Na widowni międzynarodowej	— Rumunia po wyborach Czyżby zmierzch imperializmu.
Kalendarz wyborczy	

EMIL OGŁOZA

ARYSTOKRACI VOLKSDEUTSCHE

Dnia 10 grudnia 1943 zebrał się na kolejne czwarte posiedzenie t. zw. Najwyższy Trybunał Kontroli dla Zagadnień Narodowościowych na przyłączonych terenach wschodnich urzędujący przy Komisarzu Rzeszy dla Umocnienia Niemieckości. Udział w posiedzeniu wzięli:

Reichsführer SS. Heinrich Himmler jako przewodniczący,

SS — Gruppenführer Greifelt jako zastępca przewodniczącego,

jako ławnicy:

SS — Gruppenführer Stuckart — sekretarz stanu,

SS — Brigadeführer dr. Klopfer — sekretarz stanu,

SS — Gruppenführer dr. Conti — sekretarz stanu.

SS — Obergruppenführer dr. Kaltenbrunner (ten sam!),

SS — Obergruppenführer Hildebrandt,

SS — Oberführer dr Kolnert oraz

SS — Oberführer Wiesner. (Dwaj ostatni, to znani przed wojną w Polsce przywódcy mniejszości narodowej niemieckiej, innych znamy). Rozpatrzono szereg spraw o wpis na Niemiecką Listę Narodową rozmaitych osób z terenów polskich włączonych do Rzeszy. Chodziło o rozstrzygnięcie różnych wątpliwości, sprzeciwów i odwołań od decyzji niższych władz administracyjnych. Rozstrzygnięto m. in. także następujące sprawy sporządzając dla każdej osobny protokół. (Tekst jest dosłowny w tłumaczeniu).

„1) W postępowaniu o ustalenie przynależności narodowościowej ziemianina Władysława Jerzego księcia Radziwiłła z Bagateli, powiat Ostrów wpisuje się go do 3 grupy Niemieckiej listy Narodowej. Uzasadnienie: „Książę Radziwiłł jest ze strony ojca przeważnie pochodzenia niemieckiego, matka jego była Polka, zmarła jednak już w półtora roku po jego urodzeniu. Książę Radziwiłł uczęszczał do szkół niemieckich, wstąpił w 1905 do 2 pułku ułanów gwardii. W 1913 r. ożenił się z niemiecką księżniczką Johanną von Bentheim z d. Langefeldt, z którą rozwiódł się w 1917 r. Wziąwszy udział w wojnie światowej po stronie niemieckiej jako oberleutnant, uczestniczył w latach 1919—1920 w szeregach armii polskiej w kampanii przeciw Rosji. W książeczce wojskowej polskiej podano narodowość „Polak". Przystąpił do polskiego Związku Oficerów Rezerwy, należał jednak jednocześnie do 1939 do Garde-Kawalerie-Verein i do Regiments-Verein ehemaliger 2 Garde Ulanen w Berlinie i uczęszczał do 1939 r. regularnie na koleżeńskie imprezy tych związków w Berlinie, gdzie przebywał chwilowo (1937) trzy kwartały. W 1925 przystąpił do polskiego Związku Ziemian, odmówił jednak przystąpienia do Związku Obrony Kresów Zachodnich. W roku 1934 wydzierżawił swój majątek Niemcowi Fritzowi Krügerowi i z tego powodu został zaatakowany przez dziennik polski „Gazetę Bydgoską". Administratorem jego posiadłości był od 1931 do 1939 Niemiec Schulz. Językiem potocznym w jego domu był niemiecki i polski. Między nim a kuzynem jego drugiego stopnia księciem Michałem Radziwiłłem z Antonina panowała w ostatnich latach wrogość. W 1939 uciekł rzekomo nie dobrowolnie do Warszawy".

„VII Izba Zażaleń Niemieckiej Listy Narodowej w „Kraju Warty" uznała go decyzją z dnia 1.10.1940 za pochodzenia niemieckiego (deutschstammig) i wydała mu „ausweiss" tymczasowy".

„Książę Radziwiłł stanowi typowy obraz trudnego do narodowościowego zaszeregowania międzynarodowego arystokraty. Pewnym związkom z polskością przeciwstawiają się cechy utrzymania się przy niemieckości. Z uwagi na bezdzietność i wiek księcia, można go było wpisać do 3 grupy Niem. listy Narod. Celem zapobieżenia, aby posiadłość jego po śmierci nie przeszła w ręce członków tej częściowo silnie spolszczonej rodziny, należy nałożyć nań obowiązek natychmiastowego wyzbycia się posiadłości na rzecz Komisarza Rzeszy dla Umocnienia Niemieckości. Nie ma przy tym zastrzeżeń, by już 62-letni i bezdzietny książę Radziwiłł pozostał nadal na terenach wschodnich albo zachował prawo ograniczonego użytkowania posiadłości".

Podpisano: Himmler, dr. Kaltenbrunner i dr. Stuckart.

„2) W postępowaniu o ustalenie przynależności narodowościowej byłego ziemianina Michała księcia Radziwiłła z Antonina, pow. Ostrów postanowiono odmówić wpisania go na Niemiecką listę Narodową".

„Uzasadnienie: „Książe Radziwiłł jest ze strony ojca częściowo niemieckiego pochodzenia, jego matka była Polką. Książę Radziwiłł został wychowany w Berlinie po niemiecku, uczęszczał na niemieckie Uniwersytety i służył o 1898 r. w niemieckim pułku. Po 1898 był w służbie rosyjskiej. Zarządzone badania wykazały, że podczas wojny światowej był wrogo nastawiony do Niemców. W 1915 zezwolono mu na wyjazd do Szwajcarii wzamian za zobowiązanie nie przekraczania granic Niemiec podczas wojny. Po wojnie przebywał w Hiszpanii, Szwajcarii i Francji. W 1926 r. osiedlił się w Antoninie. Otrzymał polski paszport dyplomatyczny i oświadczył się za polskością w interwiewach prasowych i przemówieniach publicznych. Był członkiem Komitetu honorowego Związku Powstańców Wielkopolskich".

„Radziwiłł był żonaty z Rosjanką, Hiszpanką, a później Angielką. Jego jedyna córka wyszła za Polaka, Radziwiłł był znany jako miedzynarodowiec, oszust matrymonialny i szuler. Biegło przeciw niemu postępowanie karne o bigamię, oszustwa podatkowe i hotelowe. W 1932 r. za rozrzutność postawiono go pod kuratelę. W późnym wieku utrzymywał jeszcze liczne stosunki m. in. z Żydówkami. Wpisania księcia Radziwiłła, który tylko częściowo jest pochodzenia niemieckiego, na Niemiecką listę Narodową należało odmówić, ponieważ jego przyznawanie się do polskości i moralny rozkład kwalifikują go jako niepożądany przyrost ludności". Podpisy.

„3) Ustalono przynależność narodowościową Marii Jadwigi księżniczki Sułkowskiej, ur. 27.2 1938, Aleksandra Józefa księcia Sułkowskiego ur. 23.3 1940 oraz ich rodziców właściciela majątku Aleksandra księcia Sułkowskiego i jego żony Katarzyny z domu Mallinger w Bielicach na Górnym Śląsku. Znosi się decyzje Niemieckiej Listy Narodowej przy Landracie w Bielicach z dn. 23.10 1941 (czwarta grupa). Aleksandra księcia Sułkowskiego, jego żonę i dzieci wpisuje się do grupy drugiej Niem. listy Narod."

rys. Olga Siemaszkowa

„Uzasadnienie: „Aleksander książę Sułkowski wykazuje wśród swoich 8 pradziadów jednego tylko posiadającego po polsku brzmiące imię żyjącego około 1750 r. księcia Jana Ludwika Sułkowskiego, którego matka jednak znów była Niemką. Aleksander książe Sułkowski jest zatem w 90 proc. niemieckiego pochodzenia. Żona jego jest czysta Niemka ze Styrii".

„Zarzuty podniesione przeciw księciu Sułkowskiemu przez władze lokalne w Bielicach z powodu jego zachowania się za czasów polskich zostały odparte przez ustalenia Gestapo i badania Najwyższego Trybunału kontroli prowadzone w porozumieniu ze służbą bezpieczeństwa (SD). Na podstawie tego ustalono co następuje:

„Aleksander Sułkowski wychowany został czysto po niemiecku. Uczęszczał do gimnazjum niemieckiego w Wiedniu i Pradze, studiował na Uniwersytecie we Wiedniu, w 1914—18 r. brał udział w wojnie światowej, był ciężko ranny i otrzymał odznaczenia. W roku 1919 ożenił się z Niemką hrabianką Hardegg".

„W roku 1921—29 pracował pod kierunkiem ojca w Bielicach i w tym czasie nauczył się trochę języka polskiego, którym w 1929 r. włada ciągle jeszcze bardzo słabo".

„Po przyjęciu majoratu trudności w związku z podatkiem spadkowym w wysokości 400.000 złotych zmuszają go do sprzedania parku przy majątku na place budowlane. Zgodę władz polskich na to uzyskał darowując jedną parcelę organizacji szkolnej. Trudności finansowe i nieszczęśliwe pożycie małżeńskie zmusiły go do udzielenia plenipotencji swemu spolonizowanemu bratu Romanowi i do udania się do Austrii. Podczas procesu rozwodowego jedno przysądzone żonie dziecko z pierwszego małżeństwa przebywało w pewnym klasztorze polskim w Galicji, udowodniono jednak aktami sądowymi, że Aleksander książe Sułkowski walczył wszystkimi sposobami, aby dziecko to ściągnąć znowu w środowisko niemieckie".

„W 1936 r. ożenił się z obecną żoną, znaną w swojej ojczyźnie aktywną propagatorką narodowego socjalizmu za czasów Dolfusa. Bezpośrednio po zawarciu małżeństwa powrócił z 3 rzeczoznawcami z Austrii do Bielic. Rzeczoznawcy ci prof. Lochr, dypl. kupiec Plachetka i radca leśny Wieckel są członkami partii w Ostmark od 1930 wzgl. 1932 r. Komisja spowodowała usunięcie Romana Sułkowskiego i zwolnienie Niemca kierownika Noska, który razem z Romanem S. dopuścił się niewłaściwości na szkodę majątku. Poza tym jednak Sułkowski zatrudniał przeważnie personel niemiecki. Z nowoprzyjętych w latach 1929—39 osób, osiem wpisano do I, a dwie do II grupy Niemieckiej listy Narodowej. Jeszcze w 1939 r. S. zaangażował na wpływowe stanowisko w swoim majątku 2 Niemców. Kiedy w 1939 r. Urząd Wojewódzki zwolnił szereg niemieckich urzędników leśnych, Sułkowski zarządził dalsze wypłacanie poborów i na własny koszt wziął dla zwolnionych Niemców adwokatów. Z powodu faworyzowania sił niemieckich był często atakowany anonimowymi listami i w prasie polskiej. Z jego majątku o użytkowności tylko 150 ha poddano polskiej reformie rolnej 67 ha".

„Aby usunąć opór kół polskich przeciw zawarciu małżeństwa z Niemką, zawarł z żoną intercyzę, w której postanowiono m. in., że dzieci w razie rozwodu pójda za nią do miejsca przez nią swobodnie wybranego, a więc do Leoben w Styrii, gdzie księżna Sułkowska posiada wielkie młyny. Miano jednak dbać o to, „żeby dzieci stosownie do obywatelstwa polskiego były wychowywane na Polaków i by dana im była możliwość opanowania w pełni języka polskiego". Notariusz niemiecki potwierdza, że klauzula ta nie była brana poważnie, ponieważ było wykluczone, aby w razie rozwodu dzieci były wychowywane w Leoben po polsku. Faktycznie wychowanie dzieci było czysto niemieckie".

W związku z kryzysem czeskim jesienią 1939 r. Sułkowski zawiózł dzieci swoje do pewnego niemieckiego leśniczego koło granicy Rzeszy. Także przed wybuchem wojny w 1939 roku wcale nie uciekł wgłąb Polski, tylko zawiózł rodzinę do Leoben a sam został w Bielicach".

„Sułkowski wraz z żoną nie należał w ostatnich latach przed 1939 r. do żadnego polskiego stowarzyszenia, należał natomiast do niemieckiego Gesangverein, niemieckiego Beskiden - Verein oraz do Bielitz - Bialaer Bislauiverein. Dostęp do archiwum rodowego umożliwił wyłącznie pewnemu niemieckiemu badaczowi. Czynsz czytelni niemieckiej, mieszczącej się w jego zamku, obniżył z 300 na 170 zł. Na polowania zapraszał niemal wyłącznie Niemców. Tylko 4 przedstawicieli władz polskich zapraszano jako „Konzessionspolen". Jedynie służba w armii polskiej w latach 1923—29 i należenie do polskiego Związku Oficerów Rezerwy obciąża księcia Sułkowskiego".

„Brak ten przy uwzględnieniu całości jego zachowania można pominąć, ponieważ we wszystkich rozstrzygających sprawach książę Sułkowski jasno wykazał swoją niemiecką postawę. Spory między nim a ludnością m. Bielice na tle umowy o dostarczanie wody nie mają nic wspólnego z narodowością małżonków Sułkowskich". Podpisy.

„4) Dnia 10 lutego 1944 r. Trybunał zebrał się na piąte posiedzenie w nieco odmiennym tylko składzie celem rozpatrzenia przynależności narodowościowej m. in. właściciela dóbr rycerskich Wacława hrabiego Rzewuskiego z powiatu gnieźnieńskiego. Wydano orzeczenie, że decyzję Niemieckiej Listy Narodowej przy landracie w Gnieźnie (I grupa Niem. Listy Narod.) znosi się. Rzewuskiego wpisuje się do grupy drugiej".

„Uzasadnienie: „Hrabia Rzewuski jest w przeważającej mierze polskiego pochodzenia. Hrabia Rzewuski uczęszczał do szkół i gimnazjum niemieckiego i studiował rolnictwo w Rzeszy. W wojnie światowej wziął udział jako ochotnik w pułku saskim. Dnia 1 marca 1919 r. złożył wniosek do polskiego Ministerstwa Wojny o przyjęcie go do armii polskiej i pracował jako pierwszy referent sekcji politycznej w Sztabie Generalnym w Warszawie. W sierpniu 1919 r. brał udział w pertraktacjach w Berlinie jako członek polskiej misji wojskowej".

„Chociaż hrabia Rzewuski w wojsku polskim podawał się za Polaka, budził już wtedy wątpliwości co do postawy narodowej. W późniejszych czasach w aktach oficerskich był określony jako kosmopolita, nie mający żadnej więzi ze swym pułkiem polskim.

„Po 1933 r. chwalił zalety gospodarcze narodowego socjalizmu (oddłużenie rolników), przy sposobności pozdrawiał „Heil Hitler", sławił zdolności Fuehrera i kpił z armii polskiej. Latem 1939 r. prorokował w publicznych rozmowach szybki koniec Polski i został z tego powodu skazany na półtora roku więzienia. Wyrok określa go jako germanofila chcącego zyskać sobie względy Niemców, by otrzymać z ich rąk wysoki urząd. Był aresztowany od marca do września 1939 r. i był ewakuowany wraz z Niemcami z Gniezna. Do stowarzyszeń niemieckich albo polskich nie należał. Wniosek jego o przyjęcie do Deutsche Vereinigung odrzucono".

„Hrabia Rzewuski wykazał pewną chwiejność w stosunku do niemieckości w pierwszych latach, tak, że nie było właściwym pozostawić go w grupie I Niem. Listy Narod. Mimo to jednak jego otwarte wystąpienie za niemieckością w 1939 r. uzasadnia wpis do grupy II Niem. Listy Narod." Podpisy

Tyle dorywczo zebrany niekompletny zbiór akt niemieckich. Wymowa ich jest dostateczna. Wykazują one raz jeszcze jak słabymi nićmi powiązana była z patriotyzmem część naszej arystokracji. Jest to nawet pewna przykrość dla kogoś, kto jest przywiązany do dawnego blasku tych nazwisk, gdy widzi, że nazwiska te w taki oto sposób gasną na widowni historycznej. Arystokraci, którzy zwykli byli mówić, że są solą ziemi, byli po prostu nieraz jej zdrajcami. Oto smutne pendant do afery Potockiego z Łańcuta.

Emil Ogłoza

WKRÓTCE UKAŻE SIĘ W DRUKU
ŚWIĄTECZNY NUMER „MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ" POŚWIĘCONY

ZIEMIOM ZACHODNIM

Numer noworoczny „MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ" zawiera pierwsze monograficzne opracowanie zagadnienia Ziem Odzyskanych.

Na treść numeru składają się artykuły:

Wicepremiera GOMUŁKI — Polska a Ziemie Odzyskane
Inż. Eug. KWIATKOWSKIEGO — Nasze wybrzeże morskie
Min. MINCA oraz Wicemin. SZYRA — Odbudowa przemysłu na Ziemiach Odzyskanych
Prof. PIWARSKIEGO — Dziejowe prawa Polski do Ziem Odzyskanych
Prof. BOLEWSKIEGO — Gospodarcze znaczenie Ziem Odzyskanych
Dyr. LUTMANA — Zagadnienia kulturalne Ziem Odzyskanych

oraz szereg innych artykułów pióra wybitnych specjalistów, jak i dział kronik i materiałów.

Zamówienia na numer specjalny przyjmuje Administracja „MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ" Warszawa, ul. Smolna Nr 13.

O POLITYCE TEATRALNEJ

O wychowawczej roli teatru mówi się u nas już od dziesiątków lat. Ludzie teatru, reżyserzy i aktorzy, od dawien dawna zwykli z dumą mawiać o sobie, że są na „placówce“, na „posterunku“ — mając oczywiście na myśli sens społeczny swej pracy.

Leon Schiller —

Władysław Daszewski

Scena z „Krakowiaków i Górali“

W historii teatru polskiego były okresy, w których to przekonanie o swej specjalnej roli dałoby się w pełni uzasadnić. Ale nie przestano mówić tak i wówczas, kiedy w ogólnym procesie rozkładu kultury mieszczańskiej rola wychowawcza teatru zagmatwała się w plątaninie takich celów jak „tylko wzruszanie“ lub „tylko kształcenie zmysłu estetycznego“, a sens społeczny pracy teatralnej utonął we mgle bezideowości lub mistyfikacji.

Czy ten okres, niebezpieczny dla teatru i jego roli — okres lat międzywojennych — mamy już, doświadczeni ciężko i przywróceni rzeczywistości, poza sobą? Niestety. Repertuary teatrów w Polsce przeważnie nie wskazują na zmianę, której — doceniając właśnie ową rolę wychowawczą i społeczną — oczekujemy. Toczy się walka o przywrócenie teatrowi jego zachwianej roli. A w tej walce teatr Schillera, w którym i repertuar i sposób inscenizacji dąży do spełniania zadań naszej epoki, staje się — w dziejach teatru — teatrem znowu wychowawczym, znowu placówką prawdziwie społeczną, treściom swych widowisk dając jednocześnie kształt artystyczny wysokiego gatunku. Obecna inscenizacja „Krakowiaków i górali“ — stworzona przez Leona Schillera, z opracowaniem muzycznym Władysława Rakowskiego i dekoracjami Władysława Daszewskiego — reprezentuje widowisko, będące nie tylko historycznie konstruktywną wypowiedzią społeczną i polityczną, ale i najwyższym osiągnięciem artystycznego rzemiosła teatralnego w naszym dorobku powojennym.

Jest to rezultat wyraźnie określonej polityki teatralnej. I tylko takie właśnie wyraźne określenie zadań i celów społecznych, politycznych i artystycznych pospołu — przywrócić może teatrowi znaczenie i sens, jaki nieraz już miewał w historii.

J. Ż.

Scena z „Krakowiaków i Górali“

Zdjęcia wykonali: Brzozowski i Malarski

EWA KORZENIEWSKA

NIEDŹWIEDZIA PRZYSŁUGA

Już w 1886 roku, w okresie wzrastającego wpływu Konopnickiej Piotr Chmielowski zdołał dość pobieżnie, ale wnikliwie scharakteryzować jej twórczość. W „Zarysie literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu“ pisze, że poezje Konopnickiej posiadają „prostotę, urok i świeżość“, a nawet „niepospolitą piękność niektórych ustępów“. Obok tego jednak stwierdza, że plastyki autorka posiada niewiele, „a widnokrąg utworów jest zawsze ten sam“. Poematom dramatycznym krytyk zarzuca „brak ludzi rzeczywistych, artystycznie żywych“.

Doceniając w pełni znaczenie społeczne twórczości poetki, skłonni jesteśmy i dzisiaj przyznać rację Chmielowskiemu, nawet więcej — moglibyśmy uznać niektóre utwory Konopnickiej za niezawsze doskonałe artystycznie. Natomiast dałoby się napewno obronić autorkę przed przykrą sugestią, jaką narzuca książka Jadwigi Słomczyńskiej — a mianowicie groźną i krzywdzącą sugestią grafomaństwa. Słomczyńska całą swoją pracę, o zamierzonym charakterze naukowym, pisze nastrojowo - sentymentalnym językiem pensjonarki, pozbawionej nie tylko poczucia stylu, ale i prymitywnych wiadomości ze składni. — „Kość poetki poczęła się z tych kości, które bieleją w czarnym łonie naszej ziemi; ona ją poiła z gorzkiego kielicha i gorzkim chlebem wspomnień narodowych, cierpień i klęsk. Z każdym oddechem czuła Konopnicka w swej piersi jej proch, a w sercu swym krew, jaką przepojona była ojczysta ziemia z ran tych, którzy za nią umierali. Ona tknęła jej pieśń pięknem zadumy i (tu autorka cytuje Konopnicką) „tej muzyki, co z dni minionych i przyszłych spraw ducha, ogniem wybucha“.

Stale po kilkunastu zdaniach tego rodzaju następuje cytata, tak wybrana, aby motywować sądy Słomczyńskiej, Słowa obu autorek przeplatają się wzajemnie, tworząc jakiś ponury konglomerat nieodpowiedzialnych frazesów. To wszystko odbywa się w niezwykle podniosłym nastroju ducha i patosie słowa. Cała książka jest konsekwentnie utrzymana w tonie nieodpowiedzialnych superlatytów. Nieodpowiedzialnych, bo nie potwierdzonych. ani jedną analizą estetyczną, ani jednym zdaniem, świadczącym o poważnym rozumieniu poezji Konopnickiej. Kolejne streszczanie wierszy naiwne i nieudolne prowadzi do takich prób uogólnienia — „Poetka czci światło z fanatyczną wprost żarliwością i korzy się przed nim i wzlatuje doń, jakąkolwiek przybierze ono na się postać...

Refleksje społeczne są równie budujące — „Tak więc lud jest fundamentem naszego społeczeństwa, z tego też względu winien być należycie oceniony. To też wzywa Konopnicka polskie dziecię, która za lat kilka stać się ma rozumnym pożytecznym obywatelem swego kraju, aby wyszło na pole, gdzie w codziennym, mrówczym wysiłku znoi się chłop, żeby uczciło dolę kmiecą, bo

— Lud i praca to są siły
a świat cały nimi stoi“.

I oto nie wiadomo, gdzie się kończy filantropia Konopnickiej, a zaczyna naiwność Słomczyńskiej. Naiwność ta dotyczy w równej mierze zagadnień społecznych i filozoficznych, jak i literackich. Autorka „monografii“ nie uświadamia osbie najprostszych spraw z zakresu historii i teorii literatury. Przedstawia życie Konopnickiej i daje w chronologicznym porządku streszczenia wierszy z tak doskonałą beztroską, że aż budzi podziw. Naiwne wzmianki o pozytywiźmie, zapoczątkowujące kilka rozdziałów, wprawdzie świadczą o pewnym oczytaniu w popularnych opracowaniach, ale nie wystarczają aby uchronić autorkę od takich np. sformułowań — „W zmaterializowanie i przyziemność, w brutalny egoizm dorobkiewiczów (autorka) tchnęła wiew ideału. lub „Postać starego, bohaterskiego wojaka oddana jest przez poetkę z artystycznym realizmem, przez który prześwieca uczuciowy idealizm“. To są nieliczne „ujęcia syntetyczne“, które wykazują też zupełną dezorientację w terminologii naukowej.

Autorce najwidoczniej nie przychodzi na myśl, że opracowanie twórczości pisarza wymaga przemyślenia i doboru materiłu i jego ugrupowania, że każda praca krytyczna musi prowadzić poprzez opis i wartościowanie do jakichś poważnych syntez. Słomczyńska nie uświadamia sobie i tego, że obowiązkiem historyka literatury jest powiązanie twórczości pisarza z epoką i prądem i że dopiero w ten sposób można zdobyć jakąś wiedzę o jego osiągnięciach i jego indywidualności. Autorka nie potrafi nawet dobrać cytat, często podając tąkie fragmenty, które jaknajgorzej świadczą o artyźmie Konopnickiej.

Książka Słomczyńskiej nie jest opracowaniem naukowym, tymbardziej nie może i nie powinna być wydawnictwem popularyzującym. Jeśli specjalista przeczyta kilkanaście stronic, to mu nic nie zaszkodzi, ale byłoby bardziej niebezpieczne dać to opracowanie w ręce robotnika. Z jakim wrażeniem czytałby te sentymentalne opisy tragicznej doli robotnika, który „czasem czuje, że są inne szlachetniejsze rozrywki niż zadymiony szynk“ i który wedle słów Słomczyńskiej „Ma jakieś mgliste przeczucie owego bardziej uduchowionego życia. „Można by słusznie sądzić, że czytelnik nabrałby obrzydzenia do Konopnickiej, gdyż nie przyszłoby mu na myśl, że czcząc kogoś tak jawnie i tak bezkrytycznie można zarazem tak obniżać i tak wypaczać jego cele i idee.

Praca Słomczyńskiej nie zasługiwałaby na recenzję, gdyby nie to, że jest poważnym ostrzeżeniem. Zagraża dobrej sławie nauki o literaturze i dobrej sławie wydawnictwa. W obecnej chwili, kiedy w poczuciu odpowiedzialności za swoją pracę znani profesorowie i uczeni wydają niewielkie broszury lub tylko artykuły — w takiej chwili pojawienie się książki Słomczyńskiej świadczy o jakimś — powiedzmy ostrożnie — przeoczeniu. Można usprawiedliwić, gdy w tekście zjawia się takie zdanie „Konopnicka pracuje nad przekładem „Cyrano de Bergerac“ Robohaterskiej komedii XXVII wieku. (Pogódźmy się, czy Rostand żył za [illegible] w XIX wieku). Trudno jest jednak usprawiedliwić brak poczucia krytycyzmu i autorki i wydawnictwa, gdy chodzi o kosztowne wydanie grubej książki.

---

1) Jadwiga Słomczyńska — „Maria Konopnicka“ Życie i twórczość. Wydawnictwo — „Poligrafika“ Łódź 1946.

HOLLYWOOD i ŁÓDŹ

Kiedyśmy wsiedli do polskiego samolotu w Le Bourget pod Paryżem, na gołych polach i łąkach świeciło mdłe słońce a na wschód — o godzinę lotu od Francji chmury i mgły zasłoniły nam świat. Lecieliśmy ku tak rozgłaszanej na zachodzie „żelaznej kurtynie“. Myślałby kto, że samolot uderzy o nią, rozbije się, nie przeleci. Kołysał się i skakał wśród chmur i deszczu blaszany okręt aż nagle powiedziała sympatyczna stewardessa — lecimy nad Berlinem. A potem za chwilę — mijamy Odrę. „Żelazna kurtyna okazała się mitem. Lecieliśmy nad Polską. Szare pola, rzeczki, jeziora, ulice miasteczek w dole a na nich miniaturowe figurki przechodniów. Polacy. Jeszcze parę minut a oto pod nami roztacza się panorama Warszawy. Miasto w ruinach, miasto zranione lecz jakie żywe. Miasto nowej idącej wiosny.

Długa to była droga z oazy słonecznej Kalifornii do Warszawy a potem jeszcze do Łodzi — do polskiego filmowego atelier.

To co zobaczyliśmy natchnęło nas otuchą. W Nowym Jorku przed wyjazdem spotkaliśmy filmowca amerykańskiego p. Brandona, który właśnie z Polski powrócił. Powiedział on, że ludzie, którzy Film Polski stworzyli — to partyzanci filmowi w Europie, że świat cały czeka na filmy jakie powstaną w krajach pionierskich, w krajach idących naprzód, a takim właśnie krajem jest przedewszystkim nowa Polska.

W Ameryce jest wszystkiego pod dostatkiem. W kalifornijskiej zmechanizowanej oazie zwanej Hollywoodem ludzie, obraziliby się, gdyby ich ktoś nazwał artystą, produkują masowo jaskrawy i powierzchowny, często szkodliwy produkt — dla oszałamiania mas. W Hollywoodzie ludzie młodzi gorzkną i zniechęcają się. Niewielu jeszcze wie jak walczyć o lepszy, społeczny i artystyczny film. Tu w Polsce ludzie młodzi mają wszelkie możliwości twórczej pracy. Mają warsztat, mają świetnych operatorów (wielu z nich dopiero zaczyna — gdy w Ameryce ciągle fotografują starsi panowie a uwolnieni z Armii młodzi nie mogą się do roboty dostać). Mają pomoc rządu, mają dokoła siebie życie wspaniałe, pełne trudności i dramatu przede wszystkim pełne dynamiki, rozwoju, życie odradzające się na ruinach, życie tworzących się nowych i szlachetnych form.

Hollywood kupić może każdego, zapłacić może słono. Ale wielu ludzi kupuje poto tylko, by im zamknąć usta, by wstrzymać produkcję francuską, angielską, włoską, Reżyserzy francuscy Rene Clair, Renoir, Duvivier — wszyscy znaleźli się w Hollywoodzie podczas wojny. Nie dano im pracować jak chcieli — rezultat — parę słabych filmów.

Oczywiście różnica w technice i możliwościach jest wielka. Hollywood przoduje światu w fotografii, w dźwięku, w inscenizacji, w zdjęciach kolorowych. W Hollywoodzie pracuje paru ludzi naprawdę niezależnych — Chaplin, John Ford, Franck Capra, ci tworzą raz poraz wielkie filmy. Lecz poza tymi wyjątkami ducha tam nie ma, ordynarna łapa byznesu dusi zmechanizowaną fabrykę snów, cofa się ona coraz bardziej ku formom, kulturze i postępowi obcym. W Polsce film był zły, poza drobnymi wysiłkami młodych nie wiele wniósł do polskiej kultury. Ale dziś powstaje on na nowo, w warunkach zmienionych i dających nadzieje pięknego rozwoju. Nie jest to łatwa droga, nie odrazu będzie film polski triumfował, nie odrazu powstało atelier, nie odrazu dziś już świetnie pracuje Kronika. Ale dla tych — co z Hollywoodu jadą tutaj — jasne jest, że start już uczyniony gwarantuje przyszłość.

Eugeniusz Cękalski

KRONIKA FRANCUSKA

W Nr 116 „Action" Piotr Hervé ogłosił artykuł pod tytułem „Il n'y á pas d'esthetique communiste". Artykuł ten rozpatrujący zasadniczy problem: czy istnieje estetyka komunistyczna, czy nie, sprowokowany został wypowiedzią Rogera Garaudy, słynnego komunisty francuskiego, autora książki znanej w Polsce pod tytułem „Komunizm i odrodzenie kultury francuskiej" na łamach „Arts de France". Na wstępie P. Hervé cytuje wypowiedz Garaudy'ego:

„Nie istnieje estetyka komunistyczna... Malarz komunista ma prawo malować jak Picasso. Ma prawo również malować inaczej. I komunista może wielbić twórczość Picassa na równi z twórczością antypicassowską.

Malarstwo Picassa nie wynika z żadnej estetyki komunistycznej. Podobnie malarstwo Taslicky'ego. Ani czyjekolwiek inne. Czy to znaczy, że marksizm wyklucza estetykę Picassa lub inną? Nic podobnego...

...Jest prawdopodobne, że Francji komunistycznej uda się stworzyć malarstwo lepsze, niż Związkowi Radzieckiemu, Francja bowiem ma silniejsze tradycje malarskie. Możliwe, że stworzy ona nie tak dobrą muzykę, gdyż francuskie tradycje muzyczne ostatniej doby nie są tak piękne, jak rosyjskie. Rewolucja nie niszczy, lecz doskonali, doskonali lud, naród, nie sprawia cudów.

Jeszcze jedno: ten komunista, powiecie, używa często zwrotu „ja", a my spodziewalibyśmy się zwrotu „my", spodziewalibyśmy się stanowiska oficjalnego, ortodoksyjnego. Nie, przyjaciele, kto inny powie nam również „ja". Czyżby to było zakazane komunistom? Jedynie wrogowie lub głupcy (a ci są często jednomyślni) będą nam zarzucać, że dla nas „ja" jest tylko fikcją „gramatyczną". Więc nie! Nie damy im do tego okazji. Każdy będzie mówił „ja" bez ortodoksji estetycznej, i nikt w tej dziedzinie nie będzie miał prawa do ostatniego słowa, gdyż ostatnie słowo znaczy tu właśnie, że go nie ma. Do dzieła więc, swobodnie!"

Piotr Hervé solidaryzując się z powyższą wypowiedzią wyposaża ją jeszcze we własną motywację. My, komuniści francuscy — mówi — mamy swoją politykę. Nasze sądy dotyczące artystów i pisarzy są niewątpliwie funkcją naszej koncepcji świata, ale przede wszystkim są funkcją naszej polityki.

Hervé wyraża obojętność na spory panujące w pracowniach artystów i w salonach, nie pragnie mieszać się do owego „świata literatury i sztuki" pragnie, aby sądy wydawane przez komunistów miały charakter polityczny. Ale sądy indywidualne mogą być wyrazem skłonności indywidualnych, wyboru tych lub innych środków wyrazu.

Śmieszna wydaje mu się konieczność przyjęcia jednej, normatywnej estetyki komunistycznej. W zamian jednak domaga się, aby komunista miał prawo do wygłaszania sądu jaknajsurowszego politycznie, jak najmniej pobłażliwego wobec każdego dzieła. Ma on obowiązek analizowania go, interpretowania z punktu widzenia materializmu dialektycznego. Ale niech nie będzie sekciarzem i nie odtrąca wszystkiego, co „nie pasuje" do całości wybranych zasad. Mieszczaństwo, jak mówi Herve ma tę przewagę, że posiada własne środki wyrazu i własną technikę. Ale nowe społeczeństwo, które my stworzymy, wyda nowe talenty, dopomoże rozwojowi geniuszów, które teraz ulegają zduszeniu. Czy mógłbym pozostać komunistą, nie wierząc w to? Już dziś intelektualiści francuscy, którzy licznie przeszli do szeregów komunistycznych prowadzą tę samą walkę. Oni zdobyli już swoje środki wyrazu. „Oddajcie więc waszą technikę w służbę naglących spraw, które domagają się wypowiedzi" — kończy Hervé.

Jhg.

ECCE HOMO

Dobrzy opiekunowie sanacyjnej a nawet „narodowej" młodzieży w Polsce przedwrześniowej wierzyli i starali się swym pupilom wszczepić przekonanie, że przez radykalizm przechodzi się w młodości jak w dzieciństwie przez odrę. Starzy wujaszkowie z szyldem 1905 roku lub marką „statecznych" i „doświadczonych", co z niejednego pieca chleb jedli, poklepywali po ramieniu niepełnoletnich zwolenników „zmiany ustroju", — „kolektywistów" z Legionu Młodych czy „syndykalistów" z ZPMD, — mówiąc z czułością: „myśmy też byli tacy, szumcie sobie, szumcie — jak będziecie starsi — to wam przejdzie". Trudno zaprzeczyć: była to sprytna metoda.

Mało kto bowiem, jeśli jest „młodzieńczo buntowniczy", chce za takiego uchodzić. Jeśli jest inaczej — lepiej być odrazu „statecznym": w warszawskim gimnazjum „państwowym", a więc takim, gdzie pierwszeństwo mieli synowie urzędników, płacąc czesne dziesięciokrotnie niższe niż w szkołach prywatnych, gdy w epoce Berezy i Brześcia szalały młodzieżowe konspiracje — „Filarecje", i „Zety", „Zarzewia" i tym podobne, na czterdziestu maturzystów tylko dwu czy trzech miało odwagę zaznaczać sympatię dla socjalizmu. Studenci prawa i ekonomii od chwili przeczytania 10 stron skryptu profesorów w rodzaju Kostaneckiego lub Taylora uważali marksizm i ekonomikę socjalistyczną za „przezwyciężoną". Młodzi fizycy ze znaczkami endeckiego bratniaka w klapach byli nimi tylko dlatego, że ścięli się na konkursowym egzaminie na politechnice: „wiedza czysta" nie dawała nie tylko szans zabezpieczenia bytu, ale także pogłębienie jej w ujęciu przewodników duchowych, którzy zrezygnowali z wiary w obiektywny i ostateczny sens własnego wysiłku — nie mogło budzić entuzjazmu adeptów, którzy przypominali sobie dziesięć stron z podręcznika „Historii kościoła" z wyliczeniem uczonych, którzy nawrócili się przed śmiercią. Przyjęcie sakramentów św. przez wielkiego odkrywcę, złożonego chorobą, miało może niekiedy jakiś historyczny sens, jako wyraz znużenia i ucieczki od wiedzy ułamkowej i niespokojnej, szukania oparcia o system rozwiązań ostatecznych, ale studenci uważali, że należenie do sodalicji mariańskiej ma bardziej decydujące znaczenie dla studiów nad Newtonem i Kantem, niż praca w laboratoriach i seminariach.

Kiedy ostatnie dzienniki doniosły o śmierci wielkiego fizyka francuskiego prof. Pawła Langevin, jednego z kierowników francuskiego komisariatu badań nad energią atomową, pomyślałem sobie, że francuscy studenci, szukając rozwiązań ostatecznych, nie będą musieli uciekać się do tego rodzaju przykładów, aby ujrzeć w życiu i pracy swoich umysłowych przewodników syntezę słusznego postępowania, łączącego naukową teorię z życiową praktyka. Prof. Langevin nie był ciasnym specjalistą i nie szukał poza swą specjalnością metafizycznych rozwiązań. Wierzył w możliwość racjonalnego i obiektywnego przekształcenia świata zgodnie z nauką i zgodnie ze światopoglądem, który wyznawał. Dawny współpracownik małżonków Curie na wydziale matematyczno-fizycznym uniwersytetu paryskiego, od roku 1909 profesor tego uniwersytetu, pracujący nad swoją teorią magnetyzmu, — w r. 1940 Langevin zostaje mianowany kierownikiem badań naukowych przy paryskim Ministerstwie Obrony Narodowej. Po zawieszeniu broni nie chce opuścić Francji, powraca na dawne swoje stanowisko w szkole fizyczno - chemicznej i zostaje aresztowany przez Niemców, co spotyka się z protestem przedstawicieli nauki całego świata. Wywiezionemu do Troyes prof. Langevin, liczącemu w tym czasie blisko 70 lat życia — udaje się uciec do Szwajcarii. Nie zaprzestając pracy naukowej, prof. Langevin śledzi baczenie rozwój wypadków historycznych. Obserwuje i wyciąga praktyczne wnioski ze światopoglądowych konsekwencyj ruchu wyzwoleńczego w Europie i we własnym kraju. Wyciąga wnioski z dialektyki wydarzeń. Po oswobodzeniu Paryża i po powrocie do swego warsztatu pracy naukowej prof. Langevin wstępuje do francuskiej partii komunistycznej. Od grudnia 1944 r. jest przewodniczącym Ligi Obrony Praw Człowieka. Odwiedza szereg krajów m. in. Polskę, Związek Radziecki, Czechosłowację. Jako przedstawiciel Francji bierze udział w konferencji UNESCO.

Prof. Langevin był czynnym wyrazicielem zgodności dróg nauki i śmiałego kroczenia drogami postępu, wyznaczonego przez masowy ruch ludowy i robotniczy. Był czynnym wyrazicielem wiary w możność odnowienia świata tylko na drodze zerwania z przesądami i ciemnotą. Był wzorem człowieka, który przełamał przesądy warstwy społecznej, której był reprezentantem, przesądy wynikające z pozycji którą zajmował w społeczeństwie, pozycji wzniosłego odosobnienia w imię „wyższych wartości". Był wzorem inteligenta, który zrozumiał swoją rolę dziejową, ścisłą łączność swych zadań naukowca i swych obowiązków obywatela. Był wiernym spadkobiercą tych idei, o których zapomniano w Polsce, tak łatwo gubiącej wątłą nić tradycji walki o postęp, tych idej, które nie bały się śmiałych haseł na swoich sztandarach i na dźwięk których żegnano się z trwożnym szeptem, mówiąc „jakobinizm". Mówiono, że to choroba wieku, która przejdzie. Śmiałem się z tego zawsze. Zbyt dobrze wiedziałem, co czynię, głosząc je w czasie, kiedy u Was mieli dopiero narodzić się heroldowie z waszej, wiernej mi kołłątajowskiej „Kuźnicy". Wierzyłem zawsze, że prawda musi zwyciężyć.

Kandyd

PRZEGLĄD PRASY

W nr 51—52 „Odrodzenia" Wacław Kubacki w niewielkim artykule poświęconym „Życiu Literackiemu", które nie dawno przestało wychodzić, pisze: „Pism w ogóle, jak na nasze obecne możliwości jest za dużo. Wielokrotnie sprawozdawcy ganili nadprodukcję czasopiśmienną, niecelową gospodarkę finansową, niezdrowe ambicje regionalne, rozpraszanie sił pisarskich i uwagi czytelników". To zdanie Kubackiego wydaje mi się słuszne. Co więcej, rzeczywistość potwierdziła w ostatnich miesiącach i zdanie Kubackiego i „nagany" sprawozdawców. Poczta redakcyjna przestała wyrzucać na biurka sprawozdawców kilka czasopism, przeważnie regionalnych, ale brak tych czasopism będzie wiadomy tylko bibliografii. W praktyce bowiem pisma te nie miały żadnego wpływu na nasze życie kulturalne. Ocena „Życia Literackiego" nie powinna jednak mieścić się w sumarycznym nekrologu, jaki napisałem powyżej.

Pismo to, w pierwszej zwłaszcza fazie swego rozwoju, miało duże ambicje i częściowo umiało je zrealizować. Kilka numerów „Życia" może służyć jako przykład eklektycznego pisma literackiego. Myślę o tych numerach, gdzie znajdujemy obok siebie nazwiska pisarzy z rozmaitych środowisk artystycznych i politycznych.

Likwidacja kilku pism literackich nie jest jednak, jakby to sobie mógł wyobrażać postronny obserwator, wynikiem zubożenia naszego życia umysłowego, względnie zwężenia jego perspektyw. Przeciwnie — w swobodnej i wynikającej ze stabilizujących się ostatecznie warunków pracy kulturalnej, zanikają kultury regionu, czy to etnograficznego, czy też artystycznego, a ustala się poważna, długofalowa praca w skali kultury ogólnonarodowej.

Wzrastająca ostatnio ilość miesięczników naukowych wskazuje właśnie wyraźnie na ową stabilizację.

Nie żałujmy, że pozbawiono nas lektury regionalnych utworów prozą i wierszem, pisanych zresztą wyłącznie przez stylizujących się ludowo pisarzy miejskich. Jeśli ktoś interesuje się etnografią, gwarą, sztuką ludową, historią rozwoju ludowej kultury, znajdzie wiele interesującego materiału i cennych wiadomości w organie Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego „Lud". Ogromny, XXXVI ogólnej numeracji, a pierwszy powojenny tom „Ludu", wydany w Lublinie z zasiłku Ministerstwa Oświaty, zawiera prócz kilkunastu rozpraw naukowych, obszerny dział recenzji i sprawozdań, dotyczących zarówno ludoznawczej literatury krajowej jak i obcej, dział poświęcony muzealnictwu, gdzie m. inn. znajdujemy interesujący artykuł Kazimierza Pietkiewicza, informujący nas o stanie muzeów i zbiorów etnograficznych w Polsce. Wreszcie kronika, staranne indeksy i obfity materiał ilustracyjny uzupełniają tę pięćsetstronicową księgę.

Z zasiłku Ministerstwa Oświaty ukazał się również pierwszy powojenny (VIII ogólnego zbioru) tom „Przeglądu Socjologicznego". Wskrzeszony kwartalnik Polskiego Instytutu Socjologicznego został wydany w Łodzi pod redakcją Józefa Chałasińskiego, Jana Szczepańskiego i Krystyny Duda-Dziewierz. Komitet Redakcyjny składa się z Niny Assorodobraj, Jana St. Bystronia, Józefa Obrębskiego, Stanisława Ossowskiego i Floriana Znanieckiego. Na treść tomu VIII (zeszyt 1—4) składają się m. in.: artykuł Ludwika Krzywickiego „Pierwotna szkoła uobywatelnienia", artykuł Józefa Chałasińskiego „Zasadnicze stanowiska we współczesnej socjologii polskiej". Jan Szczepański pisze „O pojęciu środowiska", wreszcie, wśród materiałów nadesłanych znajdujemy prace Georges Kagana „Durkheim i Marks". Durkheimizm, jak pisze autor, jest dziś jednym z najbardziej wpływowych kierunków współczesnej socjologii francuskiej. Artykuł Kagana poza stroną informacyjną przynosi nam przede wszystkim analizę tego kierunku w zestawieniu z marksizmem. Wskazując zgodność jednych, a niezgodność innych tez Durkheima z marksizmem, autor tłumaczy te sprzeczności epoką, w jakiej Durkheim formułował swoje tezy, oraz funkcjami, jakie miał spełnić jego system. „Socjologia Durkheima — pisze w zakończeniu Kagan — odpowiada ideologii postępowego mieszczaństwa, zwalczającego jednocześnie socjalizm proletariacki oraz klerykalizm i militaryzm, spadek ustrojów poprzednich. Dlatego też tradycjonalizm durkheimowski znajduje się na wpół-drogi między marksizmem i tradycyjnymi ideologiami religijnymi".

Program pracy „Przeglądu Socjologicznego" formuluje Józef Chałasiński we wstępnym artykule „Wznowienie Przeglądu Socjologicznego". Chałasiński wskazuje na konieczność zachowania tradycji w pracy naukowej i zwraca uwagę na aktualność tematyki kilku prac zamieszczonych w piśmie, które przeznaczone były do numeru sierpniowego z roku 1939. Numer ten nie ukazał się ze względu na rozpoczęcie działań wojennych.

Wreszcie zwracam uwagę na umiejętnie zredagowany dział recenzji. Recenzje zostały zgrupowane według działów. Dotyczą zarówno publikacji polskich jak i zagranicznych pracowników naukowych.

Kolejny, 6—7, numer „Myśli Współczesnej" przynosi prace z wielu dziedzin naukowych. W zakresie humanistyki mamy tu artykuł Józefa Chałasińskiego „Tworzenie legendy i naukowe zadania historii", stanowiący krytykę metod naukowych, zastosowanych w biografiach Lelewela (prace Ignacego Chrzanowskiego i Żanny Kormanowej). O neopozytywiźmie w filozofii, reprezentowanym przez t. zw. Wiener Kreis pisze Kazimierz Ajdukiewicz. Jest to artykuł informacyjny, w którym autor zaznajamia polskiego czytelnika z poglądami Carnapa i inn., wskazując jednocześnie na logików polskich, którzy pierwsi, przed Wiedeńczykami zajmowali się badaniem „logicznej składni języka" (Leśniewski, Łukasiewicz, Tarski).

W obszernej pracy „Czas jako element konstrukcyjny powieści" Kazimierz Wyka wskazuje na czas jako główny i zasadniczy składnik powieści, odróżniający ją od innych gatunków literackich. Wyka polemizuje między innymi z przypisywaniem Conradowi ewokowania czasu, jak to czyni Proust, dzieli ogólny czas powieści na „czas narracji" i „czas zdarzeń powieściowych". Obfite i obszerne cytaty tekstów literackich bardzo umiejętnie dobrane, pozwalają czytelnikowi na swobodne orientowanie się w wywodach Wyki. W dziale przyrodniczym „Myśl współczesna" zamieszcza pierwszą część pracy znakomitego uczonego francuskiego, prof. Teissier, „Mechanizm ewolucji". Uzupełniają numer kroniki: ekonomiczna techniczna przyrodnicza, oraz recenzje z prac naukowych polskich i obcych.

Ilość pism naukowych wzrasta. Jest to zjawisko pocieszające, tym bardziej, że wzrost ten odbywa się w tempie niezmiernie przyspieszonym. Omówione przeze mnie wyżej pisma, bądź to miesięczniki, bądź kwartalniki, są częściowo („Lud", „Przegląd Socjologiczny") pismami które kontynuują swoją działalność przedwojenną. Świadczy to dobitnie, że wbrew niektórym opiniom, życie kulturalne kraju nie tylko nie osłabło, lecz przeciwnie, rozwija się coraz żywiej, że nie rozpoczynamy wszystkiego na nowo, lecz że znów wbrew pewnym insynuacjom, korzystamy z bogatych doświadczeń i zdobyczy naukowych, osiągniętych w pracowniach i laboratoriach uczonych polskich przed wojna.

ph.

KORESPONDENCJA

ZALESKI CZY ZALEWSKI?

W interesującej recenzji z „Książek mojego pokolenia" w nr. 49 „Kuźnicy" omówiony jest utwór „Śmiertelni bohaterowie", którego autor w odnośniku bibliograficznym u dołu szpalty oraz za pierwszym razem w tekście jest nazwany Zaleskim. Następnie jednak nazwisko jego występuje siedem razy z literą „w" przed „ski". Prosiłbym więc o wyjaśnienie, jak się nazywa autor „Śmiertelnych bohaterów" i czy uzupełnienie jego nazwiska literą „w" powstało z jego inicjatywy, czy też z inicjatywy zecera, który pod tym względem jest wyrazicielem powszechnie panującej u nas od lat kilkunastu tendencji. Dla wyjaśnienia muszę dorzucić, że na początku bieżącego wieku istniała w Polsce jedna pono rodzina Zalewskich, ta, z której pochodził znany komediopisarz i działacz teatralny, Kazimierz. Najwidoczniej jego potomstwo rozmnożyło się w ciągu ostatnich dziesięcioleci „jak gwiazdy na niebie i jak piasek morski", gdyż obecnie spotykamy prawie wyłącznie nazwisko Zalewski, natomiast popularne od wieków w Polsce, przysługujące bez różnicy stanu wszystkim rodakom z niezliczonych miejscowości o nazwie Zalesie, nazwisko Zaleski zupełnie wyszło z użycia. Jednocześnie zwracam się z prośbą do wszystkich Zalewskich w Polsce o nadsyłanie bądź pod moim adresem, bądź za pośrednictwem red. „Kuźnicy" danych: od jak dawna, t. j. czy już w metrykach dziś dorosłych ludzi, nazwisko ich ma postać Zalewski. Odpowiedzi będą cennym materiałem do badań nad imiennictwem i nazewnictwem polskim.

K. W. Zawodziński

Koty

Memoriał o przyszłości Niemiec

W Niemczech i innych krajach europejskich i amerykańskich kolportuje się obszerny memoriał, poświęcony przyszłości Niemiec i ich roli w powojennej Europie.

Memoriał, którego autorzy należą do kół niemieckich, odsłania tendencje nowego rewizjonizmu niemieckiego. Głównym tematem memoriału są granice przyszłych Niemiec. Między innymi memoriał odrzuca całkowicie możliwość jakichkolwiek ustępstw terytorialnych w stosunku do Francji, oskarżając ją o wielowiekową agresję wobec Niemiec. Pokojowe i demokratyczne Niemcy pragną się zabezpieczyć przed agresją francuską!

Co się tyczy granicy niemiecko - polskiej memoriał proponuje odstąpienie Polsce całego obszaru Prus Wschodnich. Ostateczna linia granicy polskiej miałaby biec od Gdyni po Górny Śląsk zgodnie ze stanem ustalonym przez Kongres Wiedeński.

W zamian za oddanie Polsce Prus Wschodnich, Niemcy chcą dostać z powrotem Wielkopolskę i Pomorze! Oddanie Prus Wschodnich memoriał traktuje jako odszkodowanie za przegraną przez Niemcy wojnę. Dalej autorzy memoriału dowodzą, że „niewątpliwie utrata Poznania będzie dla Polski bolesna, ale Polacy muszą zrozumieć, że ta ofiara Niemiec w postaci Prus Wschodnich, jest wielka i bez precedensu w historii".

Memoriał ten pokazuje nie tylko zamiary Niemców na przyszłość, lecz ich prawdziwe nastawienie i oblicze w dniu dzisiejszym, czego niektórzy żadną miarą nie chcą dostrzec.

bs.

Zwolnienie 27 hitlerowskich przemysłowców

Z obozu dla internowanych w Dusseldorfie, zwolniono 27 czołowych przemysłowców hitlerowskich, wśród których znajduje się wielu czynnych hitlerowców, byłych oficerów niemieckich i funkcjonariuszów policji.

Z tej nieoczekiwanej amnestii skorzystał również znany hitlerowiec Daggweiler, który podczas wojny był komendantem więzienia we Wronkach, gdzie dokonano wielu masowych egzekucji.

bs.

Hitlerowcy już się poprawili

Rząd bawarski podał do wiadomości, że w najbliższym czasie zostanie wypuszczonych na wolną stopę 611 Niemców z obozów w Regensburgu, Moosburgu, Augsburgu i Norymberdze. Jako oficjalny powód podaje się, że nie stanowią oni już więcej groźby dla powszechnego bezpieczeństwa.

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia rząd bawarski ogłosił amnestię, z której skorzysta 2.000 Niemców, siedzących w więzieniach. Większość z nich stanowią młodzi. W ten sposób liczba więźniów zmniejszy się na 14.500.

Jeszcze dwa okolicznościowe święta i dwie amnestie, a wszyscy więźniowie i kryminaliści będą swobodnie spacerować po państwie bawarskim.

bs.

NOWOŚĆ

Henryk Rudnicki

MARTYROLOGIA

i

Zagłada żydów warszawskich

Pierwszy i jedyny obszerny opis dziejów ghetta warszawskiego

Księgarnia

„Czytelnika i Książki"

Kto mieczem wojuje

Warszawski Sąd Wojskowy skazał nie dawno na karę śmierci księdza Zygmunta Jarkiewicza, proboszcza parafii Kierki w pow. mińsko-mazowieckim, za organizowanie band terrorystycznych i wydawanie wyroków śmierci na „nieposłusznych" parafian.

Wojskowy Sąd w Bydgoszczy skazał wyrokiem 5-letniego więzienia księdza Kończala z pow. świeckiego na Pomorzu za uczestnictwo w bandzie terrorystycznej.

Podobnych wyroków zapadło już kilka, szereg innych spraw tego rodzaju jest w toku postępowania sądowego.

Skład broni bandy ks. Jarkiewicza znajdował się w parafialnym kościele. W kościele parafialnym, w Drohiczynie (pow. siedlecki) władze bezpieczeństwa wykryły cały arsenał, zaopatrujący w „sprzęt bojowy" bandę niejakiego „Młota": karabiny zwykłe i maszynowe automaty, pepesze, granaty i t. d. Kościół w Klimontowie (pow. opatowski) służył jako skład towarów, zrabowanych w spółdzielniach i instytucjach państwowych przez grasującą w tych okolicach bandę NSZ. O takim profanowaniu kościołów donoszono już kilkakrotnie z różnych stron kraju.

Czy — w obliczu tych faktów — nie byłoby wskazane, by episkopat polski, wykazujący tyle wzruszającej troski o rodzaj, barwę i kierunek swych przekonań politycznych, zajął się gorliwiej, niż dotychczas oczyszczaniem szeregów kleru z jednostek przestępczych, które nadużywając przywilejów stanu kapłańskiego — sieją wśród wiernych złe ziarna zbrodni, bratobójstwa, gwałtu i grabieży?... Już choćby dlatego, że „kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie", jak mówi Pismo Święte.

bd.

„Szczeniak i morda"

Polska Partia Robotnicza w swej odezwie wyborczej mówi o walce ze spekulacją, wszelkimi nadużyciami i bezprawiem — i ostrzega wszystkich, którzy liczą na bezkarność, że ich dosięgnie niezależnie od tego, gdzie się ukrywają, choćby szukali schronienia właśnie w PPR.

Jednocześnie ta sama odezwa podkreśla, że Obóz Demokracji zwykł realizować swe zapowiedzi. Obóz Demokracji wysunął hasło bezwzględnej walki z okupantem o wyzwolenie Polski i hasło to zrealizował. Wysunął hasło granic na Odrze, Nysie i Bałtyku i hasło to zrealizował. Wysunął hasło odsunięcia od władzy obszarniczo - kapitalistycznej reakcji, odsunięcia od rządów sanacyjnej kliki emigrantów i hasło to zrealizował. Wysunął hasło reformy rolnej i hasło to zrealizował. Wysunął hasło nacjonalizacji przemysłu i hasło to zrealizował. Wysunął hasło oparcia naszej polityki zagranicznej o sojusz i współpracę ze Związkiem Radzieckim i hasło to zrealizował. Wysunął hasło odbudowy w chwili, kiedy kraj leżał w gruzach i dziś już możemy być dumni z tego, co zostało dokonane.

Chciałem przypomnieć te dowody dotrzymywania przemyślanych przez obóz demokracji zapowiedzi.

Pisze mi bowiem jeden z moich łaskawych korespondentów z prowincjonalnego uniwersyteckiego miasta rzeczy istotnie przykre.

„...Na zebranie w sprawie święta narodowego w ostatniej chwili zjawia się „szczeniak z teczką", rozdziela protekcjonalne uściski dłoni, a gdy zabiera głos, to dba o jedno, żeby broń Boże nie zwątpili, że jego „kontakt z centralą" jest „murowany", że „im się należy", i, że nie wątpli, że obecni na sali panowie z magistratu, U. B. i radia otrzymali już odpowiednie instrukcje. Słowem — coś z Gogola. Ale to jest szczebel najwyższy. Niżej zjawia się już „morda, z naganem i butelką", taki, co to „ja wszystko mogę", „pij, ja stawiam, lubię ciebie, przyjdź do nas dostaniesz stypendium i kożuch".

Gdy czytam tego rodzaju wiadomości komunikowane przez — wiem dobrze — jak bardzo uczciwego i ideowego obserwatora, gdy przypomnę sobie ogrom przeszłego i teraźniejszego naprawdę ideowego wysiłku lewicy, ogrom ofiarnej pracy ludzi lewicy w aparacie administracji i bezpieczeństwa a ujrzę oczyma duszy tych gogolowskich działaczy małej prowincji — rośnie we mnie ta zimna pasja i stanowcza decyzja, która jest w cytowanym na początku ustępie wyborczej odezwy PPR'u.

Bywa, że reakcjoniści, poszukiwacze własnej korzyści, szukają schronienia i w partiach rządzącej lewicy. Na odległych, niedość uporządkowanych jeszcze ziemiach zachodnich jest ich więcej, niż gdzie indziej, ale uczciwy obywatel może być pewien, że ich dosięgniemy. Lewica polska nie pozwoli tego rodzaju elementom zaśmiecać swoich szeregów. Jedynym tytułem uprawniającym do wstępu i pozostania w szeregach partii jest i będzie istotna ideowość. Partie lewicy słusznie dbają o swój masowy wzrost, o ogarnięcie jak największej ilości uczciwych ludzi w Polsce, o związanie ich właśnie ze świadomym, czynnym życiem politycznym. Ale równolegle eliminują ze swych szeregów ludzi, którzy nie rozumieją słów: ideowość i uczciwość. Proces porządkowania kraju i normalizacji życia, który trwa i rośnie, dotyczy również porządkowania i normalizacji kadr partyjnych. Uczciwy obywatel może być pewien, że równocześnie z normalizacją kolei, wydobycia węgla, zasiewów, funkcjonowania poczty, będzie oczyszczać się z mętów reakcji każdą dziedzinę życia i znikną również gogolowskie typy rewizorów, ustosunkowanych „w centrali", przemożnych u siebie członków partyj. Zostanie typ partyjnika, który wyrobiła walka społeczna, walka o niepodległość, praca nad odbudową. Typ człowieka poprostu godnego zaufania. Partie lewicy nie czują się solidarne ze „szczeniakami z teczką" i „mordami z butelką". Partie lewicy chcą grupować ludzi szczególnie uspołecznionych, a czują się solidarne właśnie z każdym uczciwym, pracującym obywatelem, w którym obrzydzenie budzą zdemoralizowane elementy wykorzystujące dla osobistego interesu podstępem zdobyte wpływy polityczne. To będzie ukrócone w zupełności.

żlk.

Jeden hrabia drugiemu hrabiemu...

Jan Potocki (1761—1815), wojak, podróżnik, archeolog, historyk i powieściopisarz był człowiekiem wolnomyślnym. Dosyć powiedzieć, że odważył się konfrontować chronologię biblijną z pomnikami dziejowymi! Wywołało to nielada zgorszenie. Lucjan Siemieński pocieszał zatrwożonych rodaków, że pisma autora „Rękopisu znalezionego w Saragossie" wychodziły w szczupłych nakładach tak, że przechodziły prawie nieznane narodowi i, że zuchwalca skarcił należycie sam hrabia de Maistre.

„Wszakże zaprzyjaźniony z nim osobiście, a mieszkający wtedy w Petersburgu hrabia de Maistre, nie przepuścił mu tych wybryków, szarpiących się na powagę objawionych dogmatów; a jak skarcił tę pychę uczoności, nie opartej na głębokim gruncie, jak osądził to oderwanie się od ducha narodu, jak przypomniał mu powinności obywatela, znajdziemy w jednym ustępie listu, pisanego doń w r. 1810, z powodu dzieła: Principes de Chronologie pour les temps anterieurs aux Olimpiades".

1.

Zobaczmy na czym polegają powinności obywatela i jak się można lekkomyślnie oderwać od ducha narodu?

„W każdym kraju — cytuje Siemieński de Maistre'a — znajduje się pewna liczba rodzin zachowawczych, na których wspiera się gmach państwa, a te są tak zwaną arystokracją czyli szlachtą. Owóż dopóki szlachta trwa w czystości, dopóki przenika ją duch narodowy, dopóty i państwo stoi pomimo ułomności panujących; przeciwnie, odkąd zaczyna się psuć, mianowicie pod względem religijnym państwo musi runąć, choćby nim władał Karol Wielki po Karolu Wielkim. Patrycjusz jest kapłanem świeckim i religja narodu pierwszą jego i najświętszą własnością, **ponieważ ona zachowuje jego przywilej, który upada z nią razem.** Niemasz większej dla szlachcica zbrodni jak uderzać na dogmatu wiary. Przyznaj panie hrabio jak wyszła na tym szlachta francuska, że w osiemnastym wieku sprzymierzyła się z filozofią! (podkr. nasze).

2.

Jak hrabia de Maistre karcił pychę uczoności, nie opartej na głębokim gruncie?

„Ależ powiedz mi, z łaski swojej, w razie, gdybym ci na słowo honoru zaręczył, o prawdzie wszystkich szczegółów jakiego zdarzenia, którego byłem naocznym świadkiem — co więcej — gdybym ci dał świadectwo pisemne, stwierdzone przysięgą — a ty potem występując w piśmie publicznym wyrzekłbyś: „Mamy w naszych rękach jedyną tylko wiadomość o tym zdarzeniu" i zacytowałbyś na poparcie tej jedynej wiadomości słowa mego lokaja powiedziane w karczmie, bez odwołania się do mnie i do mego świadectwa — czyż nie miałbym wtenczas prawa gniewać się, a nawet żądać od ciebie satysfakcji?

Słowo w słowo postąpiłeś sobie tak z Mojżeszem, co zdaniem moim, nie przystoi ani prawdziwemu filozofowi, a tym bardziej hrabiemu Janowi Potockiemu".

3.

Jak dzielny szermierz obskurantyzmu, hrabia de Maistre, ostatecznie pognębił zuchwałego mędrka?

„Jeżeli puścisz swój dowcip i wyobraźnię na bezdroża, czy wiesz, hrabio, co stąd wyniknie?

Będziesz miał syna, wnuka i td., który zupełnie tak będzie myślał jak ty; to już nie podpada najmniejszej wątpliwości zwłaszcza że w umysłach już się zaczynało przeobrażenie. Ten Potocki, jak się spodziewać, będzie miał także syna i pewnego dnia powie mu z posępną powagą: słuchaj synu, zakazuję ci czytać książki twego dziada...

To by cię srodze zmartwiło, kochany hrabio".

Siemieński kończy: „Nie wiem czyli pełne nauki i Bożej mądrości listy de Maistre'a sprowadziły Jana Potockiego na prostszą drogę? ale, nie zdaje mi się..."

(Kilka rysów z literatury społeczeństwa, Wa 1859. II. 203—6).

Nam się także nie zdaje.

Grot.

Komunikat Zw. Zaw. Literatów Polskich, oddział w Łodzi

Z okazji II Zjazdu Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich, który odbył się w Łodzi dnia 26—27 października — Julian Tuwim w depeszy powitalnej zadeklarował utworzenie funduszu w wysokości 100.000 złotych im. Matki poety, Adeli Tuwim. Fundusz ten Julian Tuwim oddał do dyspozycji Oddziałowi Łódzkiemu Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Fundusz, pomyślany jako pomoc dla znajdujących się w trudnej sytuacji materialnej pisarzy i ich rodzin oraz dla osób czy instytucji będących w zasięgu działalności Związku, został utworzony przez Juliana Tuwima i siostrę jego Irenę Tuwim dla uczczenia pamięci Matki ich, Adeli Tuwim, zamordowanej w 1943 roku przez Niemców, i będzie ponawiany corocznie dnia 19 sierpnia w rocznicę śmierci Adeli Tuwim.

Zarząd Oddziału Łódzkiego ZZLP powołał Komitet Funduszu, który tegoroczną sumę fundacyjną rozdzielił na posiedzeniu w dniu 4 grudnia 1946 r. pomiędzy zasługujących na pomoc pisarzy, wdowy po literatach i sekcję opieki nad dzieckiem przy Oddziale Łódzkim ZZLP.

Zarząd Oddziału Łódzkiego

Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENY OGŁOSZEŃ:
Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł. 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpaltę.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2. D – 011488